ROK III. Nr. 7 (107) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 15 lutego 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



POD PANOWANIEM KRÓLOWEJ ZIMY (fot. Wieczorek).

Ludzie żądni spirytystycznych sensacyj, podziwiają w Londynie nadzwyczajne medjum — mrs. Meurig Marrio. Młoda kobieta produkuje się w jednym z teatrzyków londyńskich i w chwili transu wygłasza głosem męskim natchnione kazania.



Grupa przemysłowców szwajcarskich, którzy przebywali w naszej stolicy celem zaangażowania się w przemyśle polskim.

Nie ruszać Mussoliniego! Amerykański oficer, generał Butler, został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej, za publiczne wystąpienie przeciw dyktatorowi. Zanotować należy, że generał przemawiał w Ameryce. Na fotografji — obrońca Butlera, mjr. Leonard.





Co słychać na świecie

Z pośród mnóstwa zdarzeń, wynikłych na przestrzeni ostatnich 7-u dni, musimy ograniczyć się na zanotowaniu tylko najważniejszych i to stylem niemal telegraficznym.

Z dziedziny zamachów — wykrycie spisku przeciw Mussoliniemu oraz rzucenie bomby w prezydanta Hondurasu. Odpowiednie tło stanowią szerzące się tu i ówdzie rozruchy komunistyczne (Praga) oraz rewelacje na temat knowań moskiewskiego Kominternu na gruncie międzynarodowym (zdemaskowanie organizacji w Warnie).

Jeśli chodzi o inne przykrości, których zły los przysparza bez liku — mamy do wyboru: straszny kataklizm w Nowej Zelandji, trzęsienie ziemi w Grecji, tragiczne wypadki angielskiej łodzi podwodnej i hydroplanu, i katastrofę kolejową w Krakowie.



W. ks. Aleksander udał się w imieniu członków b. rodziny carskiej do Ameryki, celem spieniężenia bogatej kolekcji klejnotów.

A teraz — trochę o Niemcach. Francuzowi, hr. d'Ormesson, strzeliło nagle do głowy ogłosić zbawienny środek na rozwiązanie trudności gospodarczych, przyczem Francuzowi nie chodzi o własną Ojczyznę — lecz o zbawienie Niemiec, dla których pragnie wykołatać nowe ustępstwa. Francuski Young został wprawdzie wygwizdany przez opinję publiczną. Nie obawiajmy się jednak, iż Niemcy nie omieszkają podnieść jeszcze propozycji super lojalnego hrabiego.

Od czasu do czasu dobry los podsuwa Niemcom coraz nowe tematy do napaści. Tym razem przyczyniło się do tego sto osiemdziesięciu sześciu literatów francuskich, podpisując wysoce filoniemiecki pamflet. Wyciągajcie przyjazne dłonie, sypcie i pieniądzmi (aktualność pożyczki francuskiej Niemcom) — a z pewnością *nie* zapomną, tak samo jak nie zapominają o wysłaniu wiernopoddańczych swych uczuć wygnanemu monarsze. Na dowód — laurki, wysłane do dworu z okazji 72-letnich narodzin b. kaizera.



Zpośród różnych „missek", ubiegających się o tytuł miss Europy, a następnie i Univers na rok 1931 wybrano Francuzkę (w I-szym rzędzie — 4-ta od lewej ręki). W I-ym rzędzie siedzą: miss Italja, miss Estonja, miss Belgja, miss Francja, miss Węgry, miss Anglja, miss Danja. W 2-gim rzędzie: miss Jugosławja, miss Austrja, miss Rumunja, miss Niemcy, miss Turcja, miss Grecja. miss Hiszpanja i miss Holandja.



Mc. Callun (Kanada)



Parker (Anglja)



Linde (Szwecja)

7 dni w raju sportowym

Krynica zmieniła swój uzdrowiskowy charakter i stała się na tydzień rajem sportowym, w którym wszechwładnie panuje krążek hokeyowy, regulując całkowicie program tutejszego życia. Przez ulice, przystrojone chorągwiami, udekorowane rzeźbami z lodu, łukami tryumfalnemi, sunie międzynarodowy tłum, którego jedynym tematem rozmów jest hockey. W godzinach meczów, poza stadjonem, miasto wygląda jak wymarłe. Panuje niezmączona cisza i zdawać się może,, że wszystko zatrzymało się w szalonym pędzie, aby nie przeszkadzać hockeistom. Przyjazd zawodników, którzy oczarowani byli przyjęciem i serdecznością, z jaką ich witano, stworzył atmosferę przyjacielskiego zbliżenia.

Już podczas pierwszych treningów, mistrzów kauczukowego krążka trybuny wspaniałego stadjonu zapełniły się oficjalnymi delegatami, przedstawicielami państw, zawodnikami i dziennikarzami, którzy z szaloną szybkością charakteryzowali drużyny i oceniali graczy. Z zapartym oddechem podziwiano szalone tempo Kanadyjczyków, doskonałą formę Amerykanów, kombinacje Szwedów, Francuzów, Węgrów, Polaków, Czechów, Rumunów, Austrjaków i Anglików. Do dnia 31 stycznia program zawodów i ostateczny skład drużyn należał do najciekawszych zagadnień, na których opierały się przypuszczalne wyniki meczów o tytuł mistrza świata i Europy.

Na kongresie Międzynarodowego Hockeya na lodzie postanowiono, że w roku 1932 odbędą się w Pradze „Europejskie mistrzostwa świata", — po Mistrzostwach świata w Lake Placide (Ameryka).

Prezesem Ligi po raz 10-ty został p. Loieg (Belgja). Odznakami honorowani zostali p. W. Kuchar i W. Krygier.



Drużyna kanadyjska w akcji pod bramką przeciwnika.

Od dnia 1 lutego dnie i wieczory spędzaliśmy w stadjonie hockeyowym, przeżywając emocjonujące wrażenia sytuacyj podbramkowych i goli, podziwiając akrobatyczne popisy zawodników, z których bezapelacyjnie najlepsi są Kanadyjczycy i Amerykanie. Bardzo ciekawe mecze wprawiają w gorączkowy zapał nawet najspokojniejszych widzów; to też niektóre posunięcia graczy są przyjmowane okrzykami lub gwizdaniem, rzadko trafnie.

Pierwsze mecze przyniosły spodziewane wysokocyfrowe rezultaty, spowodowane dużą różnicą poziomów drużyn.

Na pierwszy ogień poszła Rumunja, która z U. S. A. przegrała 15:0. Jednakże trzeba wziąć pod uwagę, że Amerykanie mają poza sobą długie lata treningu. Mimo znacznej porażki Rumuni grali ambitnie i podczas następnych meczów grali znacznie lepiej, uzyskując dwie bramki honorowe przez Boten-Donici. Następny mecz Szwecja —Austrja (3:1) był bardzo interesujący ze względu na dżentelmeńską i ofiarną grę Austrjaków; doskonałe pomysły kombinacyjne Szwedów — ze słynnym Johansenem i Abramsohnem na czele budziły powszechny entuzjazm.

✵

W chwili, gdy drukujemy tę korespondencję, wyniki są już wiadome i dla nas zaszczytne. Vivat Sequens!...



Rzeźby z lodu na drodze do boiska hockeyowego.



Ogólny widok Krynicy.



Dzięki inicjatywie p. sen. L. J. Everta powstał w Warszawie Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej. Komitet ma w budżecie duże sumy, które poświęca na walkę z nędzą.

W końcu roku wydano pokaźną cyfrę 1.500.000 bezpłatnych obiadów. Pozatem wydaje się obiady za drobną opłatą 1 zł. dla bezrobotnych pracowników umysłowych (zupa, mięso, 2 jarzyny, chleb) i 50 gr. dla bezrobotnych pracowników fizycznych (litr gęstej zupy z mięsem i 200 gramów chleba).

Komitet roztacza ponadto opiekę lekarską — ogólną oraz ze specjalnem uwzględnieniem matki i dziecka. Zajmuje się sprawami prawnemi bezrobotnych (eksmisyjne, alimentarne i t. p.) i niesie wogóle tej biednej, głodnej, wynędzniałej rzeszy mnóstwo dobrodziejstw.



Senator Ludwik Józef Evert.

JERZY LEWESTAM,

WIDZIAŁEM...

Wielkie miasto, wielkie zbiorowisko ludzi najrozmaitszego autoramentu, wykształcenia i stanu. Mrowisko wszelakich typów, najrozmaitszych i najbardziej nieprawdopodobnych okazów rodu ludzkiego. Miasto potwór, jarzące się miljonem świateł, tętniące gorączkowem życiem, świstem, dzwonieniem, warkotem. Miasto kontrastów, pełne przepychu — i nędzy.

Mówią, że bywają miasta wesołe, jak Paryż, lub smętne, jak Londyn, zadumane, jak Strasburg, lub roześmiane, jak Wiedeń.

Warszawa, dzisiejsza modernizująca się stolica, niewiadomo dlaczego otrzymała miano *wesołej*.

Gładkie jezdnie śródmieścia, zgiełkliwe kawiarnie, dancingi, wystrojone panie, gentlemeni-*dernier cri*... Oto jedno oblicze Warszawy.

Jest jednak i drugie. Blade, wynędzniałe, głodne, wegetujące wśród brudnych kamienic peryferyj i sieci zabłoconych uliczek.

Przekleństwo obecnej doby — miasto bezrobotnych.





Przed kuchnią i w jadalni Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej w Warszawie.

Zapytany, czy Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej udziela zapomóg pieniężnych, p. sen. Evert oświadczył:

— Nic tak, mojem zdaniem, nie demoralizuje bezrobotnych, jak zasiłki pieniężne, wytwarzające zupełnie specyficzny nastrój. Można pomagać, lecz nie należy szafować datkami. Głodnym dajemy obiady, a nie pieniądze, które poszłyby może na wódkę. Fundusze nie pozwalają nam, niestety, na rozciągnięcie akcji w całej pełni. Ludzie nie tylko nie mają co jeść, ale nie mają gdzie mieszkać. Nie wątpię, że społeczeństwo nie zapomni o naszym Komitecie i niedługo nie tylko będziemy mogli podwoić ilość bezpłatnych obiadów, ale zaczniemy budować.

— — — — — — — — — — — — —

Czy wszyscy, którzy pędzą dostatnie, lub względnie dostatnie, życie, myślą czasem o tamtych?

Nie chcę tu nikogo roztkliwać, ani powtarzać komunałów.

Proszę tylko o jedno:

Gdy czas komu pozwoli, proszę pochodzić po przedmieściach po dzielnicach robotniczych. Przyjrzeć się nędzy z bliska. I jeśli kto potrafi — niechaj zapomni.

— Ja — widziałem, ja jakoś nie mogę...

Kłopoty mężów we Francji

LE DROIT DE TUER

Cudzoziemcowi, który przybywa do Paryża, rzuca się przedewszystkiem w oczy niezwykle wielka ilość ogłoszeń, proponujących w najrozmaitszy sposób załatwienie rozwodu. Ogłoszenia, zachwalające rozwód za sto franków, na raty, znajdują się wszędzie, widzi się je nawet... w publicznych pisuarach.

Paryżanki atoli, znalazły sposób, który im pozwala na uzyskanie wolności kosztem tańszym od najtańszego rozwodu. Rozwód kosztuje parę tysięcy franków, rewolwer zaś zaledwie kilkadziesiąt, a z jego pomocą można równie radykalnie rozwiązać kwestję małżeńską. Taki stan rzeczy sprawia wiele kłopotu mężom. „Liga dla obrony praw mężczyzny", będąca związkiem międzynarodowym, mającym na celu obronę mężczyzn przeciw zakusom kobiet, projektuje rozpoczęcie czynnej akcji.

Wspomniany nowy środek dla uzyskania wolności, jako o wiele tańszy, łatwiejszy i „zabawniejszy" od przestarzałego sposobu, opartego na procesie sądowym, zyskał u kobiet z kraju „wolności, równości i braterstwa" olbrzymie powodzenie. Koszt nowej metody wynosi zaledwie 175 franków, do czego dodać należy reklamę oraz parę godzin dobrej aktorskiej gry przed ławą przysięgłych, a w ostatecznym razie trochę czasu w dość miłem więzieniu.

Za 175 franków można nabyć mały, lecz wygodny rewolwer automatyczny, najlepiej ukryć go pod poduszką, i kiedy małżonek pogrążony jest w głębokim śnie, jeden celny strzał wystarczy do zakończenia całej sprawy. Jeden ładunek rewolwerowy pozwoli najsłabszej i najtrwożliwszej kobiecie pozbyć się męża na stałe. Zwolenniczki rozmaitości mogą, oczywiście, wybrać jakiś bardziej dramatyczny moment do wykonania zamierzonego czynu. Jest to pożądane, gdyż ułatwia uzyskanie wyroku uniewinniającego. Za idealne uchodzi wykonanie całej procedury w chwili, gdy brutalny mąż bije dziecko lub gdy znajduje się w towarzystwie przyjaciółki. Zapewnia to szybki proces, przychylne wzmianki w gazetach oraz rychłe uniewinnienie. Sądy karne widzą nader mile te sposoby, przysięgli zaś mają przytem możność nasycenia się całym patosem i tragizmem sprawy.

Fakty mówią co następuje: w roku 1929 czterdzieści siedem francuzek zastrzeliło, otruło lub udusiło swoich mężów, i to najczęściej bezkarnie W ciągu pierwszej połowy roku ubiegłego trzydzieści siedem pań poszło za przykładem swoich poprzedniczek. Rok 1930 był więc zapewne rekordowym (nie posiadamy jeszcze danych o drugiem półroczu).

Niektóre z tych spraw są niezwykle interesujące. Bohaterką jednej z nich jest pani Desotrat, która zabiła męża w grudniu roku 1929, mąż jej był najpospolitszym pijakiem, bił, głodził, dręczył i brutalizował swą żonę — wogóle, ujawniał charakter raczej niemiły.

Pani Desotrat kupiła więc rewolwer i... wzięła siedem lekcji strzelania, poczem oczekiwała dnia, w którym Desotrat wróci do domu w bardziej niż zwykle niesympatycznym nastroju. Dnia tego w pokoju znajdowała się jeszcze teściowa, na szczęście ślepa. Pani Desotrat pozwoliła przyrodzonym niemiłym cechom męża ujawnić się w całej okazałości. W chwili, gdy na skutek złego traktowania, oburzenie jej osiągnęło szczyt — wystrzeliła... Siedem kul, jedna za każdą lekcję strzelania, trafiło w dołek żebrowy okrutnika. Wszystko to odbyło się błyskawicznie. Pani Desotrat była wolna. Pozostawało jeszcze tylko parę formalności prawnych. Teściowa była świadkiem w procesie. Słyszała kłótnię, lecz nie widziała niczego. Podczas całego procesu pani Desotrat zalewała się łzami. Przysięgli ronili również niejedną łzę współczucia nad podsądną. Ostatecznie skazano ją na zapłacenie kilkudziesięciu franków odszkodowania i na paromiesięczny areszt. Wszystko odbyło się gładko i skutecznie.

Spraw takch jest w Paryżu wiele. Najciekawsza byłaby chyba sprawa pani Jane Weiller, która, gdy znajdzie się znów na wolności, zapewne pobije światowy rekord ilości mężów. Pierwszy z nich zginął na wojnie, z drugim rozwiodła się, trzeci, Weiller, był człowiekiem tak bardzo rozwiązłym i zepsutym, że zamieszczone w dziennikach rewelacje, dotyczące jego pożycia małżeńskiego, zdołały poruszyć cały Paryż. Robert Weiller odznaczał się tak dalece posuniętą towarzyskością, że w dowód gościnności nie wahał się ofiarowywać swej żony przyjaciołom, ani też zabierać jej ze sobą w poszukiwaniu niezwykłych wrażeń w najbardziej wyuzdanych spelunkach. Ten gorączkowy i zepsuty tryb życia nie pozostał bez wpływu na Jane Weiller; po jednej więc z hulaszczych zabaw spędzonych w egzotycznem towarzystwie murzynów, chińczyków oraz różnych typów z półświatka, Jane spokojnie zastrzeliła męża, poczem sama zatelefonowała po policję. Szczegóły procesu Jane Weiller są przykre, ponure i budzą głęboką odrazę. Mąż jej został wprawdzie uznany za obłąkanego w roku 1923. Jakkolwiek pani Jane Weiller nie była bez winy, publiczność okazała jej raczej współczucie. Okazało się w ciągu procesu, że mąż często groził Jane śmiercią, ona więc tylko uprzedziła go. Wyrok — sto franków odszkodowania i pięć lat więzienia. W roku 1935 Jane wciąż jeszcze będzie kobietą ładną, młodą i nadającą się. do małżeństwa.

Bo niemniej ciekawą rzeczą jest fakt, że kobiety, pozostające w konflikcie z prawem, zasypywane są propozycjami małżeńskiemi — i to we wszystkich krajach. Dziwne upodobanie...

Dr. J. C.



Błędne koło: redukcja płac pociąga za sobą zniżkę w drobnych przedsiębiorstwach handlowych, ta znów pociąga zniżkę w dużych przedsiębiorstwach. Fabryki, oczywiście, nie pozostają dłużne, obniżając ceny, a co za tem idzie, redukują płace personelu i t. d. Można tak mówić przez dwa tygodnie. Simplicissimus.

Ze staruszkami pod rękę...

Głośna powieść niemieckiego pisarza, Hildebrandta, w której autor przenosi swoich bohaterów na fantastycznej maszynie w strefy dawno minionej przeszłości, stykając ludzi współczesnych z Fryderykiem Wielkim lub z Lutrem — przypomina mi szereg wieczorów, spędzonych przed dwudziestu paru laty w jednej z najwspanialszych naszych rezydencyj historycznych, w towarzystwie sędziwego staruszka-famulusa. Ile miał lat — nikt tego nie wiedział dokładnie, z pewnością jednak ponad dziewięćdziesiąt, a że służył przy dworze od dzieciństwa — łatwo sobie wyobrazić, ile mógł opowiedzieć o tych starych komnatach, w których tak wielu przewinęło się ludzi... I patrząc na meble antyczne, z pietyzmem porozstawiane jak ongi, na stare portrety Davidów i Lampich i na jeszcze starsze, niezdarne konterfekty, wyzierające z poczerniałych ram — bez żadnej maszyny przenosiłem się do epoki cudów pudrowanej natury, świeżych fioków i bryzowanych manel, o której znów staruszkowi memu opowiadano za lat dziecięcych. Sędziwy staruszek i ja, podrostek — obejmowaliśmy tak olbrzymi okres czasu...

Zgoła frapujące zdarzenie zanotowały w r. 1910-ym kroniki sądowe paryskie, omawiając wypadek badania pewnego 76-letniego staruszka, okazało się bowiem, iż brat zeznającego zginął na szafocie podczas Wielkie Rewolucji. Niezwykłe to zestawienie dat tłomaczy się tem, iż ojciec staruszka, urodzony w r. 1756-ym, ożenił się po raz pierwszy w 18-ym roku życia i miał syna, który wstąpił na służbę, na dwór Ludwika XVI-go, w pachołęcym wieku, a w parę lat później został stracony. Ojciec miał wówczas 38 lat. Po wtórnie ożenił się w r. 1834-ym i z tego małżeństwa zrodzony został zeznający.

Inny wypadek miał miejsce na Podolu, w r. 1905-ym, z pewnym 95-letnim starcem, który oświadczył, iż siostra jego zmarła... przed półtora wiekiem. I tu znów okazało się, że ojciec staruszka po raz pierwszy wstąpił w szranki małżeńskie w 19-tym roku życia, miał córkę, która umarła, jako niemowlę, syn zaś, zrodzony był z drugiej żony, zaślubionej w 56 lat później.

Podobnego rodzaju anomalje zdarzają się, jak widzimy, w wypadkach niezwykłego wieku, w jakim były zawierane małżeństwa.

Nie są to, wprawdzie, wypadki codzienne, na dowód czego przytoczę tu nieco danych ze statystyki angielskiej. Okazuje się więc, że w r. 1929-ym 26 piętnastoletnich i 585 szesnastoletnich podlotków wyszło za mąż. I odwrotnie — 335 mężczyzn i 85 kobiet stanęło przed ołtarzem w wieku od 75 do 79 lat, starszych zaś ryzykantów obojga płci, t. j. w wieku 80-tu lat i wyżej naliczono — 92. Zanotowano ponadto w tym samym roku małżeństwo, zawarte pomiędzy 70-letnim panem młodym (!) a 15-letnią dziewoją, jak również 70-letniej niewiasty (?) z 20-letnim młodzianem.

Powróćmy do naszych staruszków.

Opowiadali mi tedy starsi ludzie o niejakim baronie Waldecku, którego jeszcze w r. 1875-m można było codziennie spotykać w okolicach placu Zgody, zatopionego w głębokiej medytacji. Cóż dziwnego — wszak przed 80-tu laty był świadkiem Wielkiej Rewolucji i z tego samego miejsca przypatrywał się krwawym walkom ulicznym. Jakże nie miał tego pamiętać, skoro był wówczas dorosłym mężczyzną, urodził się bowiem w r. 1766-m i do samej śmierci zachował najzupełniejszą rzeźwość umysłu.

Rekord jednak pobiła pewna Amerykanka (jakżeby inaczej?), która była świadkiem spalenia Moskwy w r. 1812-m: miała wówczas 18 lat, zmarła zaś w r. 1913-m. Pani Esther zamieszkała przed śmiercią w New Yorku, miała podobno wyrazić żal, iż podeszły wiek nie pozwala jej wyjechać do Rosji, aby móc przypatrzeć się uroczystościom jubileuszowym w Moskwie.

Być może, iż lepiej się stało, gdyż byłaby doznała rozczarowania. Oto bowiem podczas tych uroczystości przedstawiono carowi pewnego 114-letniego starca, który w czasie odwrotu miał rzekomo przeprowadzić Napoleona przez bród. — „No i jakże wyglądał Napoleon?" — spytał car. — „Wielki to był wódz... — odpowiedział staruszek — oj wielki! I sam był jak olbrzym, i brodę miał długą po pas, a jechał na ogromnym koniu... Ale nasi go zmogli..." Tu stropił się starzec, a jeszcze więcej ci, którzy go przywiedli przed oblicze monarsze, gdyż, oczywiście, car, i wszyscy obecni wybuchnęli homerycznym śmiechem. Biedny, nieokrzesany „mużik" rosyjski, mógł łatwo pomylić fakty. Bo jakże — tłum wojska, szczęk oręża dokoła, a może i kilka szturchańców dla zachęty — a tu on, podrostek, prowadzi za uzdę konia, na którym siedzi ten, co powszechną grozę obudził w całym kraju. Należy tudzież oddać sprawiedliwość, że Napoleon podczas odwrotu nie golił zarostu.

Na zakończenie wreszcie powtórzę znaną może anegdotę z okresu II-go Cesarstwa, o pewnej staruszce, która, siedząc na przyjęciu, przy boku cesarzowej Eugenji, wywołała ogólną sensację powiedzeniem: — „Ludwik XIV zawsze ostrzegał mego męża..." Mąż, Ludwik XIV?... conajmniej więc rzecz, datująca się z przed 152-ch lat? A jednak było to możliwe, gdyż staruszka w 16-m roku życia wyszła za 92-letniego marszałka de Richelieu, który za lat chłopięcych był paziem przy boku wielkiego Króla-Słońca. Słusznie zatem, w r. 1867-ym mogła sędziwa matrona wspominać o epoce, w której żył jej małżonek.

A. F.



Nie małą trudność odczuwa dostojna ta rodzina żydowska z rozmieszczeniem świeczek podczas uroczystości świątecznych gdyż wszyscy czworo liczą sobie w sumie 415 lat!



Sędziwy marynarz francuski, Yves Nicolas, zasłużył sobie na ordery i spokojne dokonanie swego żywota, gdyż pływał na morzu 85 lat.



Pra-pra-babunia Franciszka Levapraste, zamieszkała w New Yorku, doczekała się pokaźnego grona 98 wnuków pra i pra-pra wnuków. Tyle prawie, ile liczy sobie wiosen (ur. w r. 1820).



Helena Bonnet (panna), urodziła się w Paryżu na parę lat przed krwawemi wypadkami lipcowej rewolucji. Pracuje do dziś dnia i uważana jest za doskonałą robotnicę.



Zmarły w r. 1875 baron Waldeck był dorosłym mężczyzną w chwili wybuchu Wielkiej Rewolucji.

HERBATA

„Chińskie ziele", jak ją czasem dawniej u nas nazywano, to trunek rozpowszechniony dziś na całym świecie, dzięki swemu miłemu smakowi, aromatowi i... dzięki lekko narkotycznym właściwościom.

Mało kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, że według ostatnich danych statystycznych (z 1928 roku) produkuje się jej około 431 miljonów kg. rocznie. Produkcja wzrasta z roku na rok, prawdopodobnie dlatego, że rządy kolonjalne udzielają dużo zapomóg plantatorom herbaty.

Dr. Kreuzkamm, znawca w tej dziedzinie, twierdzi, że produkcja z r. 1928 wykazuje o 90 miljonów kg. więcej niż z r. 1913. Same kolonje angielskie produkują 160 miljonów, Ceylon 90, Sumatra 8, a Chiny około 50 miljonów kg. Największy wzrost jednak pod tym względem osiągnęły kolonje holenderskie zwiększając w ciągu ostatnich lat 40 swą wytwórczość 20-krotnie. Ojczyzna herbaty Chiny i Japonja, coraz mniej dają światu herbaty, gdyż w 1900 roku dostarczyły 40 proc. całej produkcji, a dziś tylko 18 proc. Wpłynęło na to bez wątpienia skurczenie się rosyjskiego rynku po wojnie.

Jeśli zaś chodzi o odbiorców, to najwięcej herbaty pochłania Anglja, bo około 200 miljonów kg. albowiem przeciętny Angljik wypija według statystyki 50 razy więcej herbaty od Niemca. Drugim odbiorcą po Anglji, to są Stany Zjednoczone, aczkolwiek zużywają tylko 40 miljonów kg. Rosja była przed wojną tym krajem, który po Anglji najwięcej konsumował herbaty. Czerwoni carowie, doprowadzając kraj swój do ruiny gospodarczej, umieli jednak zmniejszyć jej wwóz o 16 miljonów kg. w porównaniu z 1913 rokiem.

„CAFE ADRIA"

W gmachu reprezentacyjnym Tow. Riunione Adriatica di Sicurta przy ul. Moniuszki Nr. 10, został otwarty wielki lokal rozrywkowy pod nazwą „Cafe Adria". Lokal ten posiada w swej całości jednolity charakter architektury rzeczowej, pozbawionej wszelkich dygresji ornamentu materjalnego i akcentuje funkcje swych elementów przez właściwy dobór materjałów i odpowiednie oświetlenie, które podniesione jest tutaj do poziomu dominującego czynnika architektonicznego, przy szerokiem zastosowaniu krytego światła.

Interesującem uzupełnieniem są liczne, celowo pomyślane urządzenia praktyczne. Całość wykonana jest pod naczelnem kierownictwem arch. Edwarda Ebera według projektu, opracowanego łącznie z arch. Jerzym Gelbaidem, R. i G. Sigalinami i E. Seidenbeutlem.

Już w następnym numerze rozpoczynamy druk sensacyjnej powieści J. S. FLETCHERA

Morderstwo na Ogrodowej

Czy wszystko wiemy o owadach?

— Ach, te owady! — powiecie, — wszystko jest tak oklepane, wszystko już wiemy!

Mam jednak temat: skorzystajmy np. z okazji, spojrzmy na te ryciny i powiększone fotografje, czy doprawdy wiemy wszystko? Nie, tej fizjognomji nie znamy z pewnością, cóż za ideał wyrazu? Czy nie dostrzegamy podobieństwa do drapieżników? Te same z boku bokobrody, ciemno zarysowane i piękne ułożenie koncentrycznych kół, imitujących orbity oczne z cieniem starczego złośliwego noska pośrodku, którego, zresztą, jak wszystkie owady, moskity nie posiadają, chociaż w rodzinie komarowatych należą do bezsprzecznych elegantów.

Moskity są prawdziwą plagą pewnych okolic, gdzie chmury tych nielitościwych owadów dręczą człowieka, zabierając mu sen i spokój, wtedy właśnie, gdy go najbardziej potrzebuje. Mimo wszystkich potężnych środków jesteśmy bezbronni wobec moskitów, od wieków znosimy ich tyranję tam, gdzie się znajdują.

Nie sądźmy, że wybrały tylko okolice zwrotnikowe, występują także w Tundrach i Tajgach północnej Europy, Azji i Ameryki, a przedewszystkiem w tajdze syberyjskiej, gdzie ani zimy z bezustannemi zawiejami śnieżnemi, ani lodowy spękany pokrowiec, nie ustępujący z ziemi, ani uboga nad wyraz flora, nie gnębią tak moralnie i fizycznie tamtejszego człowieka, jak moskity, które są rzeczywistemi władcami tundry. Walka z niemi jest beznadziejna i rozpaczliwa, one wpłynęły na psychikę całych plemion, na ich obyczaje, wierzenia i religję. Jak dziwnie brzmiałby temat, zadany uczniom, p. t.: Moskity a Samojedzi, czyli przyczynek do folkloru północnych plemion koczowniczych, przecież wartoby coś podobnego omówić gwoli pouczenia maluczkich, iżby wiedzieli o rzeczach, które się nie śniły filozofom.



Głowa pchły.

Nic więc dziwnego, że moskit wyziera z tej karty, demonstrując swoją kłująco-ssącą aparaturę pyskową, a chociaż u samca aparat ten bezsprzecznie piękniej wygląda, niż u samicy, jednak dzięki brakowi u samców żuwaczek, przeobrażonych u samic w kłujące sztylety, jest raczej ozdobą, niż bronią. Samczyki są naogół skromnymi jaroszami, pijającymi sok roślin, ich żony, jedynie, trudnią się rozbojem, niby plemię dzielnych amazonek.

O ile skromniej jakościowo i ilościowo występują na naszym padole pchły, zaledwo w 150 gatunkach, pasożytujących tylko na ptakach i ssakach, wielbiących nadewszystko smak i aromat dobre ludzkiej krwi, nietyle błękitnej, ile czerwonej, chociaż, jak wieść gminna niesie, uwielbiał ten ród ongiś i królewskie progi, skąd „acz płoszony dostojnej ręki królewskiej obławą, wracał uparcie w zamkowe pielesze, gdzie czuł się również świetnie", jak pod wyrobniczą strzechą. Rzeczywiście uparty ten owad winien zasiadać na Olimpie, przynajmniej za swe niesłychane uzdolnienia sportowe, nieosiągalne przez żadnych innych mistrzów światowych. Skok z miejsca jest jego domeną. Pchła jest jedynym, dotąd poznanym okazem żywej istoty, której skok przekracza kilkaset razy długość własnego ciała. Jak blado wobec tego wyglądają nasze ośmiometrowe susy z rozbiegu, w których zaledwo 4—5 razy przeskakujemy siebie...



Żądło pszczoły.

Rzut oka na rycinę pouczy nas o konterfekcie tej niemiłej wspólniczki naszego ukrwienia, może potężne mięśnie jej nóg i krótki zwarty aparat pyskowy, przystosowany do nakłuwania skóry i wysysania krwi, zmusi nas do szanowania i unikania tego stworzenia. Walka z nim nie przynosi nam ujmy, walczymy z silnym przeciwnikiem. Ten pancerz hitynowy, nakształt rycerskiej zbroicy i górna sztyletowa warga z podobnie wykształconemi żuwaczkami, pouczają dosadnie, że pchła może i potrafi walczyć o byt pod dewizą: Szybkość, wytrwałość, oporność i moc.

I z kolei nie traktujmy zawodowo pasożytnictwa nadmiernego wobec pszczół, których zbiory niszczymy niejednokrotnie, nie mniej żarłocznie, niż pchły naszą krew. Tylko w celu obrony wysunęła nam pszczoła swe żądło na rycinie, a chociaż ten i ów zna posmak jego ukłócia, mało kto obejrzał dokładniej tę broń kunsztowną i cenną.

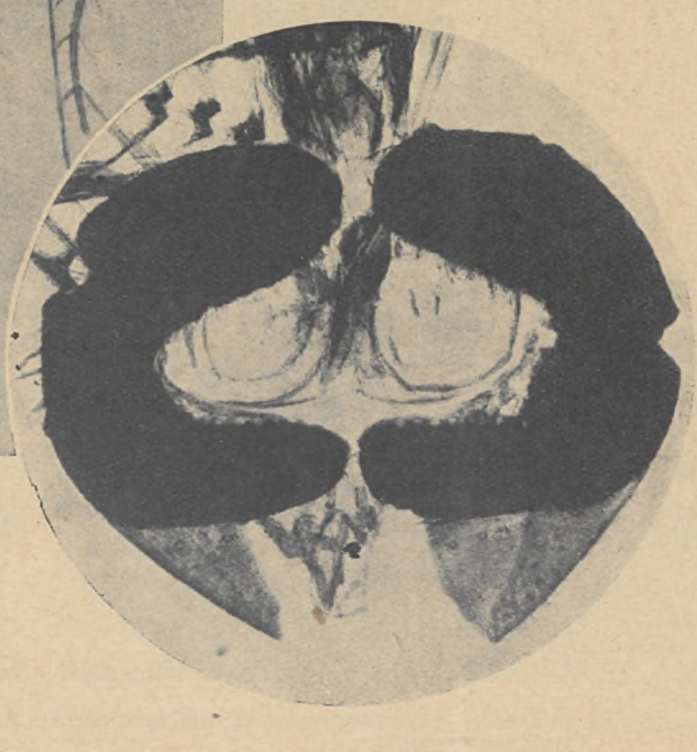
Ten ostry, wypchnięty do tyłu grot, jest właśnie częścią aparatu obronnego pszczoły. Same żądło składa się właściwie z dwóch połówek, ukrytych w pochwie, otoczonej dwiema parami płytek, widocznych na fotografji. Płytki te są dźwigarami mięśni silnie unerwionych, wyrzucających żądło, połączone z gruczołem jadowym.

Do zadawania rany i wprowadzania jadu wystarczyłoby same żądło, ale matka natura, nie chcąc widocznie, by obrona miała być środkiem ataku, związała ją z wnętrznościami, ukrytemi w głębi jamy ciała owadu. Urywają się one zwykle w chwili wyrzutu żądła i dlatego po tym akcie pszczoła musi zginąć.

M. Ch.



Głowa moskita samicy.



Głowa moskita samca

LENA SOLM.

OSTATNIA ROLA PETER SMITH'A

Sklepik mieścił się u wylotu ulicy Rynkowej, w brzydkim, nie wiadomo dlaczego na jaskrawą różowość pomalowanym domku. Nad drzwiami, obryzganemi zimą i latem lepkiem, gliniastem błotem, wisiał duży, z złoconej blachy wycięty but, a poniżej, na zielonkawej, niemytej szybie, wymalowano koślawie białą farbą:

„Jan Łatka, szewc".

I nikt w całym Sochaczewie nie wiedział, że w głębi suteryny, po stromych, drewnianych schodach w dół, w czeluści mrocznej izby, siedzi, skurczony na niskim taburecie, nie żaden, całemu miasteczku jak zły szeląg znany garbus, Jan Łatka, ale właśnie największy aktor świata, natchniony artysta z Bożej łaski, genjalny Peter Smith.

Do małego sklepiku słońce dochodziło tylko w wyjątkowo jaskrawe, letnie południa, a i to, zaczepiwszy promieniami o mętną szybę, z trudem rzucało przez mętną zaporę jeden mizerny snop jasności — i już ginęło w mroku, zgaszone, zdławione i zniszczone wrogą ciemnością, zaczajoną w zakurzonych kątach izby. Było to, zresztą, prawie obojętne — bo i tak Jan Łatka pochylał się dniem i nocą nad zabłoconemi, grubemi butami i nic mu było po słońcu. Na początku tygodnia słońca mogło nie być — jednakże światło dawała mała naftowa lampka. Ważniejsze, choć nigdy nie całkowicie niezbędne, stawało się w piątki, soboty i niedziele. Ale i w te dni służyło tylko do wywołania świątecznego nastroju — i gdzież mu było do migotliwych światełek czerwonych i zielonych żarówek, zapalanych o zmierzchu nad bramą przeciwległego domu. Bo w Sochaczewie „kino grało" tylko przez trzy dni w tygodniu — i w te dni właśnie mizerny szewczyna, Jan Łatka, w magicznem lśnieniu kolorowych żarówek, przeobrażał się w wielkiego aktora — Peter Smitha.

Peter Smith zjawił się po raz pierwszy w małej izdebce zupełnie niespodzianie: było to parę lat wstecz, jakieś nocy, kiedy całe miasteczko zelektryzowała nowina, że do nowowybudowanego domu zwieziono dziwne maszyny i „będzie kino". Już pierwszego dnia sala była po brzegi wypełniona publicznością. Z dramatu mało co kto zrozumiał. I nikt nie wiedział, że tej nocy szewc Jan Łatka, pijaczyna i partacz ostatniego rzędu, przywłaszczył sobie nazwisko jednego z bohaterów filmu. Właśnie Peter Smith'a. Ba — nawet sam Łatka — gdyby mu ktoś o tem powiedział, nie uwierzyłby, że te dwa słowa nie oznaczają sławy i zapomnienia, cierpienia i szczęścia, dalekich podróży, nieznanych miast, srebrnego migotu morskich fal, płowych piasków pustyni, przecudnych kobiet, zaczajonej, dusznej namiętności Wschodu i buńczucznego zuchwalstwa junackich cowboyów.

„Peter Smith" — stało się przygodą, niebezpieczeństwem i tajemnicą.

„Peter Smith" zmieniło życie.

„Peter Smith" stało się życiem naprawdę...

Takiem życiem, któremu nie przeszkadzała wieczna dłubanina koło cudzych, znoszonych chodaków, ani zatchłość sutereny, ani nawet świadomość własnego, pokracznego kalectwa.

Bo kiedy zjawił się cudowny, silny, śmiały Peter Smith — kompozytor czy cowboy, kochanek czy bandyta, mściciel czy dobroczyńca, ale zawsze młody i zdrowy — znikał gdzieś garbus Łatka.

A, że z biegiem czasu coraz częściej w małej suterenie przebywał Peter Smith — Jan Łatka stał się tylko potrzebny do przyjmowania klientów. A i to nie zawsze — tyle tylko, aby mogło starczyć na jakie takie przebiedowanie z dnia na dzień — no, i obowiązkowo na bilety do kina. Zresztą to drugie było ważniejsze. Bo inaczej, gdyby nie nadzieja, że w końcu tygodnia znów „coś się zdarzy", coś dziwnego, szarpiącego nerwy i tłumiącego oddech w wąskiej piersi — jakążby wartość miało życie? Przez cztery dni tygodnia, przez długi szereg godzin było co wspominać, własną nieudolną fantazją wypełniać luki srebrnej bajki, można było zdawać sobie nieskończoną ilość pytań i szukać na nie niezliczonych odpowiedzi, można było istnieć. I jeszcze coś: że wnętrza suteryny nie sposób zobaczyć z ulicy, a skrzyp drewnianych drzwi zdala już anonsował przybysza — można było bezpiecznie i w tajemnicy być samym Peter Smithem. Połamana, trójkątna niemal figurka bez obawy drwin miotała się po ciemnych kątach izby — i już był prokurator w todze, apasz z błyskawicą noża w ręku, odtrącony kochanek i zwycięski uwodziciel. Złamany odruch lusterka litościwie przez mgłę odbijał twarz — zmęczoną i pobladłą i gorejące, zapadłe oczy.

Jan Łatka grał — Peter Smith żył.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Katastrofa przyszła niespodzianie i, jak gromem poraziła spokój. Było zwyczajnie i po ludzku: ktoś podpatrzył. Może sąsiadka, maglarka, a może młodsza od doktora? a może dziewczyny z pralni obok? Nie wiadomo. Dość, że zaraz gruchnęło po Sochaczewie, że Łatka „kino odstawia". Za boki się ludzie trzymali.

Garbus Łatka, garbus Łatka, Boże bądź miłościw...

Że całe dnie przed lusterkiem siedzi i gębę wykrzywia...

Że po mieszkaniu, jak oparzony lata, szydłem wywija, bełkoce coś, rękami macha...

Komedja.

Kino.

Babom na Rynku oczy łzami ze śmiechu zachodziły. A przy Łatce — cicho, poważnie. Może się okazja nadarzy — same zobaczą. Wtedy będzie radości — Matko Boska...

Okazja nadarzyła się niedługo — wesele jednej tam, Marcelki. Za gospodarza, na wieś się wydawała. Pogadały z nią dziewuchy, pochichotały — i do sutereny.

— Panie Łatka, złociuśki... Panie Łatka... Przecież to wesele — raz w życiu — pan nam co zagra...

Właściwie zgodził się odrazu. Czuł to, czuł bardzo dobrze — tak dalej nie będzie. Jakżeż to — on, Peter Smith — zawsze ma grać dla pustej izby, kulawego stołka i obłoconych buciorów w kącie? A sława? A oklaski? A podróż w szeroki świat? Jeden tylko warunek postawił — żeby cicho było, jakby makiem zasiał. Inaczej nic z tego. Dziewuchy obiecały: będzie cicho, będzie...

Ostatniej nocy przed weselem w suterenie płonęła naftowa lampka do świtu. Scenarjusz był już gotów, rola wyuczona, kostjum uszyty. Ale przyszło dziwne, nieznane uczucie: jakieś dławienie w gardle, sztywne odrętwienie nóg i dreszcz trwogi w sercu. Jakże to będzie przed takim tłumem? A nuż nie potrafi? On? Peter Smith? A sława?...

Rola była długa i trudna: Jego, garbusa, życie — Jana Łatki nędzne bytowanie — i jak się to wszystko odmienia. Kiedy przychodzi tamten — Peter Smith. Właściwie nie wiadomo było nawet, jak to wygrać, ale była pewność, że wygrać trzeba. Mus. Żelazny mus.

Po południu przyszli po niego. Kostjum Peter Smitha, wiśniowy, aksamitny łach, ze starej kapy ześcibolony, na piersi schował — jak drugi garb — i poszedł. Już wkoło siedzieli, czekali. Oczy im błyszczały — dobrze. Zobaczą Peter Smitha. Z boku stanął, za szafą, kapę na siebie narzucił — i znów to dławienie w gardle, trzęsące się ręce, lęk... A sława? Jakżeż tchórzowi — sława? Odchrząknął, z za szafy się wysunął i nagle —

Śmiech. Rwący, huczący, ogromny śmiech. Huragan krzyku, pisku, kakofonja głosów, załzawione oczy, kurczowe podrzuty opanowanych śmiechem ciał. Och, och, och!!! Garbus Łatka. Ha, ha, ha! co za komedja. Święci Pańscy! Garbus Łatka! Boże!...

— — — — — — — — — — — — — —

Jan Łatka nie chodzi już do kina. Wie: bohater Peter Smith na jego miejscu wyjąłby opanowanym ruchem z szuflady mahoniowego biurka lśniący, stalowy przedmiot i skierowałby czarną lufę w siwiejącą skroń. Ale Łatka nie jest bohaterem — jest garbatym szewcem z Sochaczewa i chce żyć. Nic to, że dzieci na ulicy włóczą się za nim i wołają „artysta". Nic to, że dorośli trącają się łokciami, kiedy przechodzi koło nich. Jan Łatka pogrzebał już na zawsze zdradliwego, niedoścignionego Peter Smitha. I to nawet nie boli. Bo zawsze jeszcze w ostatnie dni tygodnia płoną nad przeciwległym domem magiczne światła czerwone i zielone żarówki i blask ich odbija się w przezroczystem szkle butelki, nad którą pochylony garbus marzy o przedziwnem, cudownem życiu Peter Smitha.

W przybytku ciszy...

(Fotografje z życia Trapistów w Reichenbergu dostarczone nam zostały przez ag. J. B. Malina „Orbis Catholicus").



„Gloria Patri et Filio et Spiritui Sancto"... — rozbrzmiewa głos przeora, żegnającego znakiem krzyża mnichów. Modlitwy skończone i ojcowie rozchodzą się każdy do swej pracy.

Wartki prąd współczesnego życia nie zdołał jeszcze przeniknąć do wszystkich zakątków ziemi. Przez bezludne pustynie ciągną już, od czasu do czasu, warczące motory, topór kolonisty wyrębuje całe połacie dziewiczych lasów ,maszty antenowe wyrastają nad martwą Arktydą.

Człowiek zdobywa.

Uzbrojony w narzędzia, które mu przyniosła wszechpotężna wynalazczość, pragnie wszystkiem zawładnąć i ze wszystkiego ciągnąć korzyści.

Są wszakże ciche ustronia na tej ziemi — przedziwne oazy, w których nic się nie zmieniło od wieków, ani sposób życia, ani kierunek myśli — nic... Człowiek, który tu się dostaje, wyrzeka się wszystkiego—„nie jest nawet panem swego ciała". Dla świata umarł, wyrzekł się nawet daru mowy.

Z pośród wszystkich tych pustelni — klasztorów, najsurowsze życie obowiązuje w zakonach t. zw. Trapistów, którzy dobrowolnie obostrzyli dawniej obowiązującą ich regułę. Wywodzą się historycznei z Cystersów (r. 1098), których w swoim czasie znano i w naszym kraju, dokąd przybyli w XII w., opuścili zaś Polskę po 100 latach (r. 1290), nie mało przyczyniwszy się do podniesienia kultury rolnej w wielu okolicach (klasztory w Lądzicy, Brzeźnicy, Wąchocku, Szczyrzynie i i Trzebnicy). W dzisiejszych czasach Trapiści posiadają około 60-ciu klasztorów, rozrzuconych w różnych krajach.

Przejdźmy za furtę klasztorną w Lérins.

W starych murach, datujących się z VI-go stulecia, znajdziemy tylko paru zakonników, którzy zwolnieni są z reguły milczenia. Oni jedynie są łącznikami ze światem zewnętrznym.

Wchodzimy za naszym przewodnikiem do nawy kościelnej, w której spostrzegamy dwa rzędy zakonników, zatopionych w modlitwie. Mają białe habity. To mnisi, którzy posiadają święcenia kapłańskie.

Oddzieleni od nich portykiem modlą się młodsi braciszkowie — ci już w bronzowych habitach.

Na ołtarzu jarzą się świece. Za chwilę rozlegnie się śpiew gregorjański. Monotonny, rozlewny, nadwyraz przejmujący powagą.

Od czasu do czasu jeden z mnichów wstaje z miejsca, klęka przed ołtarzem, poczem skłania głowę przed przeorem. Znakiem ręki przeor zezwala zakonnikowi opuścić nawę i udać się do pracy, gdyż tu, w zakonie Trapistów, każda godzina objęta jest przepisem, a w myśl reguły św. Benedykta — „lenistwo jest wrogiem duszy".

Modlitwa skończona. Zakonnicy wychodzą jeden za drugim. Za nimi młodsi braciszkowie.

Udają się do sali, w której, po kolei klękając przed przeorem, będą wyznawać na głos swoje grzechy.

Rozchodzą się. Każdy do swej pracy. Uprawiają pole, warzywa w ogrodzie, kwiaty. Żadne słowo nie przerywa niezmąconej ciszy. W razie konieczności porozumienia się, mają niezwykle ograniczony zapas znaków, podobnie jak głuchoniemi.

„Zasiadając w refektarzu do posiłku, starają się również przestrzegać ciszy. Nie brzęknie łyżka, szklanka nie zadźwięczy.

Trapiści spożywają skromny swój obiad, na który składają się wyłącznie jarskie potrawy. Wykluczono nawet z jadłopisu jajka. Przed kilkoma miejscami stoją nakrycai. Krzyż oznacza, że siedział tu jeszcze niedawno mnich. Umarł, lecz jeszcze w ciągu miesiąca nakrywają mu do stołu i wydzielają porcję, którą później oddawać będą biednym.

Obrzęd pogrzebu zmarłego mnicha jest nader prosty. Skoro tylko nadejdzie chwila agonji umierającego układają na ziemi, na której rozsypano uprzednio w formie krzyża popiół i słomę. Rozlega się wówczas dzwonek w kaplicy i wszyscy bracia udają się do celi umierającego na modlitwę. Ciało po zgonie złożone jest na wspólnych noszach i wyniesione na cmentarz, gdzie zostaje pochowane bez trumny.

W odniesieniu do francuskich Trapistów ciekawym szczegółem, charakteryzującym wysokie poczucie obowiązku względem Ojczyzny jest fakt, iż żaden z mnichów, podlegających służbie wojskowej, nie uchylił się od niej. Wszyscy, podobnie jak i ogól kleru francuskiego — uczestniczyli w akcji na froncie, pełniąc z poświęceniem służbę kapłanów lub sanitarną, jako szeregowcy. Iluż z nich zginęło na froncie, ilu zostało zaszczytnie odznaczonych — dowodem bezustanne świadectwa wszystkich dziejopisów wojny *), poparte zresztą powszechnym szacunkiem, jakim cieszyli się ofiarni słudzy Boży wśród całej braci żołnierskiej. „Poilu", który w cywilu niejednokrotnie może napadał na suknię kapłańską lub habit — wspomina z najwyższą czcią tych swoich kolegów. W klasztorze Trapistów w Lerins wiszą obok wielkiego ołtarza ordery wojskowe, któremi odznaczono ciche zasługi braci milczących.

Piszący te słowa dorzucić może osobiste wspomnienie o swym koledze z lat młodzieńczych ,synu znanego wirtuoza francuskiego A. D., który po ukończeniu uniwersytetu wstąpił swego czasu do zakonu O.O. Benedyktynów i zginął na froncie w pierwszych miesiącach wojny, pod Reims.

Ciekawą jest rzeczą, czy w obecnych czasach wielu znajduje się adeptów, którzy pragną żywota swego dokonać w klasztorze. Boć nie jest tak łatwo wyrzec się wszystkiego i dobrowolnie oddać się średniowiecznemu rygorowi bezwzględnej klauzuli, obostrzonej ciężką pracą fizyczną i ślubowaniem milczenia. Okazuje się jednak, iż w każdym z klasztorów Trappy nowicjat swój odbywa po kilku kandydatów, ludzi różnych kondycyj, różnego poziomu umysłowego i nawet temperamentu. Jeden tydzień wystarczy, podobno, aby zdać egzamin wytrwałości — jeden tydzień zaledwie, którego każdy dzień rozpoczyna się o 2-ej nad ranem, na prymarji. Tak utrzymują przynajmniej zakonnicy, którzy wielu widzieli już ludzi, kołaczących do cichej furty klasztornej i wiele wysłuchali wyznań kandydatów, którzy jedyną widzą ucieczkę w najsurowszej klauzuli.

Trappa, milczenie, ciężki trud fizyczny — wszystko zdaje się rajem dla tych, co stronią od świata i nawet od medytacji.

Wartki potok życia współczesnego i masa pokus codziennych, nie zdołały wyplenić z serc ludzkich ideałów, które przed wiekami przyświecały św. Benedyktowi.

R—i.



Ojcowie, którzy posiadają święcenia kapłańskie, noszą białe habity.



Przewielebny Ojciec Przeor Trapistów z Reichenberga.



Siedem razy w ciągu doby, począwszy od 2-ej rano, zbierają się zakonnicy w kaplicy na modlitwach, którym wtórują piękne pienia gregorjańskie, zachowane w najbardziej o ryginalnej formie.



W myśl reguły św. Benedykta — „lenistwo jest wrogiem duszy", to też Trapiści poświęcają większą część dnia pracy fizycznej, medytacjom zaś oddają się w godzinach modlitwy.



Za chwilę brać zakonna zajmie mejisca w refektarzu przy nader prymitywnym posiłku. Kuchnia jest ściśle jarska, jajka nawet są wykluczone z potraw.

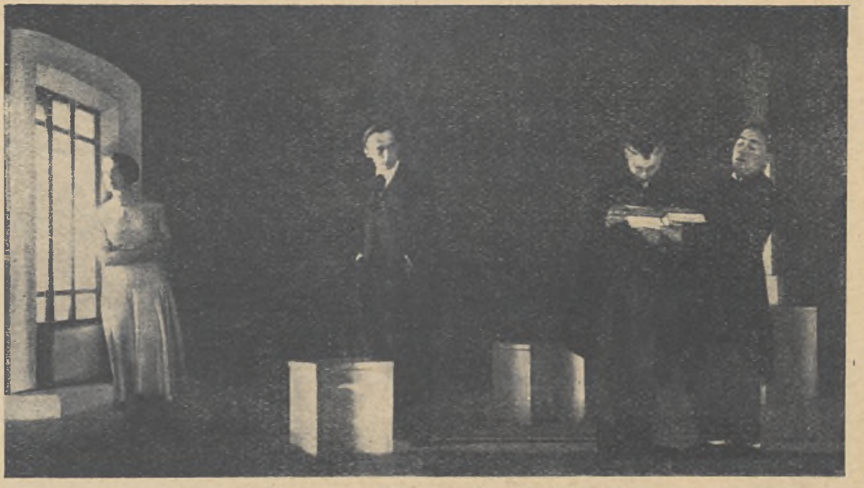


Trapiści ślubują milczenie. Ani jedno słowo nie pada z ich ust poza zdaniami modlitwy. W razie konieczności porozumienia się ze sobą używają znaków, jak głuchoniemi.

---

*) Z pośród ostatnio wydanych rzeczy o wojnie patrz „La Vérité sur la Guerre" przez płk. dypl. H. M. wyd. Albin Michel w Paryżu. Opinja, wyrażona przez autora, tembardziej zasługuje na uwagę, iż oficer, kryjący się pod literami H. M. pochodzi z rodziny żydowskiej.

Z teatrem wędrownym przez Wołyń



Scena z „Żeglarza" Szaniawskiego.

W Ołyce sensacja. Na kwadratowym rynku i trzech przyległych uliczkach, przytulonych do obronnych murów książęcego zamku, wre:

Teatr przyjeżdża!

Teatr! Od lat nie było tu nawet amatorskiego przedstawienie! Egzotyka filmów, startych aż do srebra taśmy, które wyświetlano w miejscowem kinie, nie zaspakaja widać dziwnych tęsknot, podszeptywanych spokojnym mieszkańcom przez patos wołyńskich pejzaży, gdyż senne zazwyczaj miasteczko pośpiesznie kończy swoje dzienne sprawy, wcześniej dziś kramy zamyka, a w gospodzie Poliwanowa w wielkim zgiełku szykuje wieczerzę dla przyjezdnych.

O zmroku, drogą z Łucka, nadjeżdża wreszcie po niebo obładowany autobus. Zatacza się na zakrętach, podskakuje na zdradliwych wykrętach podmiejskiego bruku, gubiąc po drodze malowany las i pociąg.

Przyjechali!

Dęta orkiestra — chluba miasta — zachłystuje się uroczystą chwilą, z uniesieniem wydmuchując I-szą Brygadę i, w tempie oberka graną, marsz żałobny, jedyny, niestety, do tej pory repertuar młodego zespołu.

Sala kina, gdzie odbyć się ma przedstawienie, świeżo jest podmalowana na błękitnawą biel, jak wieś po tyfusie. Okna bez szyb, zabite okiennicami. Dwubarwny portret Prezydenta ginie wśród wielkich złoconych ram, w których dwadzieścia lat temu wisiał portret cara. Na grubym sznurze zwiesza się u sufitu blaszany wiatrak: porusza się lekko od niespokojnego oddechu widzów.

Gong. Cisza. Podnosi się kurtyna, aby oczom widzów dać spektakl, godny dobrej warszawskiej sceny.

Co to za czarodzieje ci ludzie, którzy na scenie wielkości większego tramwaju, gdzie, oczywiście, niema garderoby i aktorzy charakteryzują się za kulisami, potykając o rekwizyty i własne kuferki z kostjumami, walcząc z instalacją elektryczną, psującą się co chwila, wszystkiemi złośliwościami rzeczy, potrafią dać widzom radość oglądania dobrego teatru?

To ukochane dziecię Komitetu Regjonalnego i p. wojewody wołyńskiego—Wojewódzki Wołyński Teatr Objazdowy, pod dyrekcją p. Haliny Gallowej i Czesława Zwierzyńskiego.

Konieczność stworzenia podobnej placówki w sposób naturalny wynikała z żywego współzawodnictwa narodowościowych organizacyj kulturalno - oświatowych na Wołyniu.

Istnieje w Łucku ukraińska „Ridna Chata", „Czeska Macierz Szkolna" i organizacje żydowskie, które oddawna uprawiają ten rodzaj kulturalnej propagandy. „Ridna Chata" od roku posiada własny zespół teatralny, organizacje żydowskie i czeskie co kilka tygodni urządzają przedstawienia, bądź to amatorskie, bądź przejezdnych zespołów, prowadząc jednocześnie w większych skupieniach narodowościowe koła amatorskie teatralne i muzyczne.

Komitetowi Regjonalnemu, dopiero w lecie ub. r. udało się stworzyć teatr, stojący na odpowiednim poziomie artystycznym.

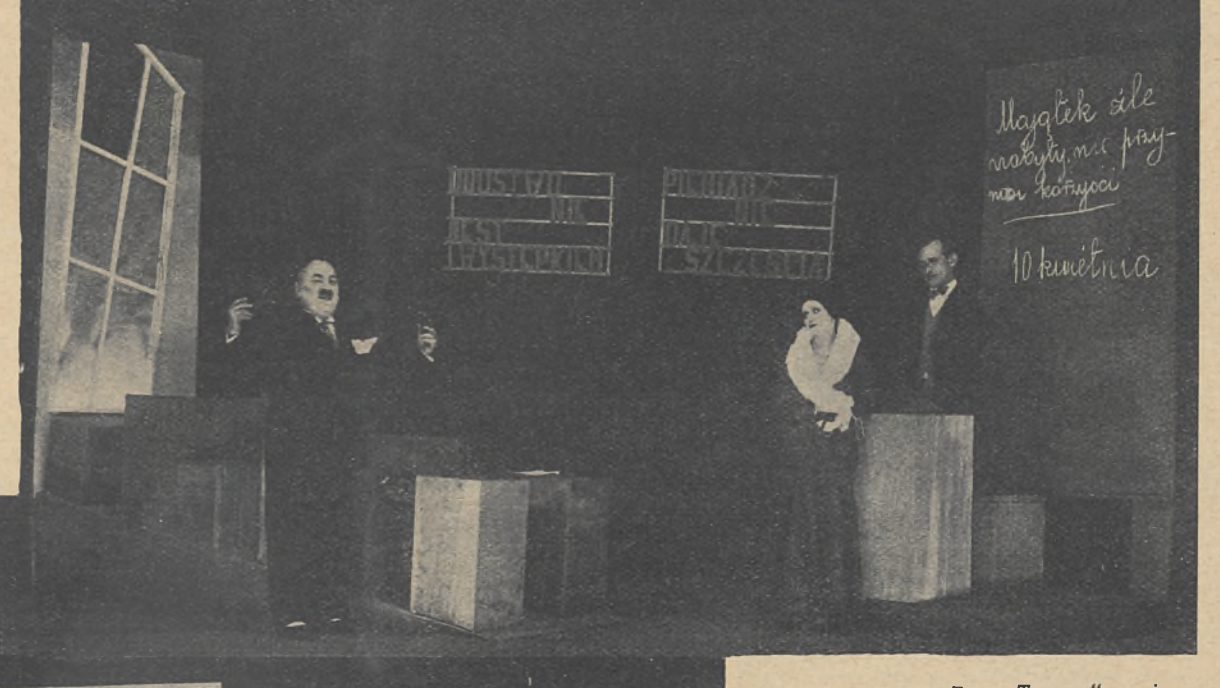
Prawdziwie szczęśliwą myślą było zrekrutowanie zespołu z pomiędzy b. wychowanków Reduty, która, pomijając wartość jej pracy artystycznej, przygotowała pokaźny zastęp idealnych pracowników teatrów prowincjonalnych, z pogodą sportowców umiejących walczyć z wszelakiemi trudami koczowniczego życia, bez wewnętrznych załamań, odbijających się niekorzystnie na pracy. Laik i profan, jak ja, przybywający ze stolicy z powziętem zgóry do tego rodzaju imprez nastawieniem uczuciowem, inspirowanem przez pesymizm Reymontowskich powieści teatralnych, nieufnością do „prowincjonalnego teatru", staje zdumiony i zaskoczony przed organizacją pracy, która pozwala 3—4 razy na tydzień, wyjeżdżającemu z Łucka zespołowi, pracować twórczo, i co 2 tygodnie należycie przygotować premjerę.

W przeciągu niespełna 5 miesięcy swego istnienia, Teatr Wołyński, wystawił 9 sztuk, dając około 100 przedstawień, objeżdżając 15 miast i miasteczek wołyńskich, nieraz odległych i odciętych od większych traktów, bardzo kiepskiemi drogami.

Otwarto sezon „Żeglarzem" Szaniawskiego, lecz, niestety, po kilku spektaklach spłonął w Dubnie budynek teatralny, a z nim wszystkie dekoracje i rekwizyty, których w pośpiechu, gorączce pracy pierwszego okresu, nie zdołano już odtworzyć.

Dalej idąc po linji zasadniczej współczesnego repertuaru, wystawiono kolejno: „Pociąg-widmo", „Wesele Fonsia", „Dzień bez kłamstwa", „Kwadraturę koła", „Pana Topaza", „Pan naczelnik, to ja" — wszystko sztuki grane przed niedawnym czasem w Warszawie. Z niesłychanym entuzjazmem został przyjęty „Pan Jowialski" Fredry, w prześlicznej stylizowanej oprawie scenicznej, b. kierownika artystycznego Reduty, dobrej duszy Teatru Wołyńskiego, Ivo Galla. Z dużem też powodzeniem grano znaną sztukę „Mirele Efros", w której wystąpiła gościnnie wielka tragiczka, p. Wanda Siemaszkowa.

Wiosną, w Krzemieńcu, podczas uroczystości ku czci Słowackiego, zostanie po raz pierwszy wystawiona „Złota gąska", której bohaterska akcja, jak wiadomo, rozgrywa się u stóp góry Królowej Bony. Z najwyższem uznaniem należy się odnieść zarówno do inicjatorów powstania tej placówki, jak i wysiłków zespołu, z całem poświęceniem i zapałem stojącego na straży kultury polskiej na ziemi Słowackiego.





Dwie sceny z „Pana Topaza" w inscenizacji Ivo Galla.

Praca ich tembardziej zasługuje na uznanie, że trudności techniczne przy stałych rozjazdach z 18 osób składającego się zespołu, są olbrzymie.

Sale i salki, w których odbywa się przedstawienie, są zupełnie czasem nie dostosowane do wymagań teatru, co powoduje konieczność specjalnego

komponowania dekoracyj i rekwizytów, niekosztownych — ze względu na ograniczone środki materjalne, jakiemi Teatr rozporządza — łatwych do transportu i nadających się do rozstawienia na najmniejszej nawet scenie.

Dlatego aktorzy tego zespołu z takiem uczuciem mówią o kotarach, wspaniałych, granatowych kotarach, które pomagają do rozwiązania trudnego zagadnienia inscenizacji.

Wszystkie szosy i drogi znają już obładowany autobus Teatru Wojewódzkiego, a posterunki policyjne pozdrawiają go życzliwie na rogatkach.

Teatr już zdobył sobie swoich przyjaciół i sympatyków — wierną publiczność, z niecierpliwością oczekującą terminu przedstawienia w ich mieście.

W autobusie spotkany obywatel Poczajowa mówił z rozżaleniem, że w takiem mieście, jak Poczajów, dotąd nie było przedstawienia i prosił mnie o interwencję w dyrekcji Teatru.

Kołysze się autobus po wyboistej drodze. Panująca ostatnio ciepłota dnia stwarza złudzenie oddychania ziemi, jak morze zmieniającej kolor od pozłocistego bronzu cupo fiolet.

Zatrzymują nas nagle: „Objazd". Budują nową szosę. Wysiadamy z autobusu, aby szoferowi pomóc w przeprowadzeniu maszyny przez polną drogę. Idziemy wolno, nieudeptanemi ścieżkami. Nogi grzęzną w ziemi pulchnej, urodzajnej.

Od podolskich stepów wiejący wiatr szemrze w moczarach Wołynia, korony drzew przetrząsa, stwarza złudzenie bliskości rycerskich rozpraw butnych kneziów z dzikiemi hordami najeźdźców, materjalizuje zjawy przeszłości.

Wokół ostrogskich wzgórz błąka się cień „wołyńskiej męczennicy", smutnej 14-letniej wdowy, Halszki, o której bogactwa niezmierzone tak długo walczyła zła matka i brutalni, sercu obcy zalotnicy, aż Bóg się nad nią zmiłował i odebrał pamięć nieszczęsnej doli.

Na wschodzie ciemność się przeciera. Świt idzie i bledną nocne zjawy.

Ruszamy w dalszą drogę.

Halszka B—ska.

JADWIGA KIEWNARSKA (WELL).

Jej Królewska Mość Opinja

Z mającej w najbliższym czasie ukazać się książki, pod tytułem „Dobre wychowanie na codzień".

Urzeczona czarowną melodją Boy'owych „Słówek" nie mogę sobie inaczej Jej Królewskiej Mości wyobrazić, jak w postaci, rozpostartej w narożnej kanapie salonu, matrony „w odwiecznej swojej sukni bordo", do której nieodwołalnie rymuje bluźniercza nazwa królewskiego oblicza „raz otwarcie—modrą". Przy jej boku niezmiennie tkwi wierny, choć śmiertelnie znudzony lord snobizmu, krzątają się dookoła niestrudzone i wieczyście zafrasowane służki-plotki.

Jej Królewska Mość łaskawego udziela ucha wartkiemu strumykowi służalczych szeptów, rozpatruje znoszone wiadomości przez szkła różowe lub czarne, jakie jej zechce podsunąć nieodstępny snobizm i feruje swe wyroki:

— Nie wiadomo właściwie, czy to on coś ukradł, czy to jego okradziono, ale to rzecz pewna, że człowiek zamieszany w brudną sprawę kradzieży, lepiejby zrobił, pozostając w domu.

Był czas, kiedy wyroki Jej Królewskiej Mości były obciążone rygorem natychmiastowej egzekucji. Przed człowiekiem, skazanym na Opinję, zamykały się wszystkie drzwi, cofały wszystkie dłonie. Odstępowali go krewni i przyjaciele, znajomi przestawali go poznawać. Był samotny jak trędowaty, lub zadżumiony. Zostawało mu samobójstwo, ucieczka z kraju, lub odzyskanie łask Jej Królewskiej Mości, drogą naprawy popełnionych win, albo też przekupienie możnych osobistości, mających wpływ na opinję.

Kapryśna i krótkowzroczna monarchini, nigdy nie odznacza się zbytnią sprawiedliwością sadu. Potępiając bezapelacyjnie kobietę, którą miłość lub lekkomyślność przywiodły do tak zwanej „kompromitacji", wspólnikowi jej, będącemu w znacznej większości wypadków głównym winowajcą — Jej Królewska Mość z zasady udzielała uśmiechniętego rozgrzeszenia, wraz z tytułem „przemiłego łobuza".

Majątek, rozległe stosunki i wpływowe stanowisko, zawsze stanowiły w oczach Królowej Opinji, okoliczności wybitnie łagodzące.

Zdarzały się przecież wypadki, w których rozsądne stanowisko, nadspodziewanie przez Jej Królewską Mość zajęte, nie dopuszczało do dokonania jakiejś nieuczciwości, lub dawało impuls do wyrównania krzywd.

Obawa przed wyrokiem opinji często hamowała nawet plagę, tak bardzo rozpowszechnionego w Rosji łapownictwa, wielokrotnie zapobiegała różnorodnym zgorszeniom. Jeżeli wyrazicielką opinji w danem środowisku była osoba rozumna i dobra, umiejętnie władająć groźną bronią, potrafiła pomyślnie zlikwidować wiele złych spraw i smutnych zajść.

Jako charakterystyczny przykład wpływu opinji na życie przedwojenne, może służyć zdarzenie prawdziwe, jakie miało miejsce w jednem z gubernjalnych miast rosyjskich. Pewnego dnia, cały miejscowy high'life został do głębi poruszony i zgorszony wieścią, jakoby śliczna panna X. opuściła dom matki i udała się do kawalerskiego mieszkania pana Y., młodzieńca, uchodzącego za świetną partję i ozdobę wszystkich salonów, będącego, ze względu na urodę, majątek i urodzenie, niejako przywódcą miejscowej złotej młodzieży. Pogłoska okazała się prawdą.

Sytuacja była tem przykrzejszą, że romantyczna panna była jedyną córką wdowy, nie mającej w najbliższej rodzinie żadnego mężczyzny, któryby mógł przemówić do sumienia uwodziciela,

magać się zadośćuczynienia, lub pomścić honor rodziny. Na nieśmiałe wstawiennictwo sędziwego przyjaciela domu pan X. młody lew salonów odpowiedział kategorycznie, że ani myśli się żenić z dziewczyną, która sama rzuciła się w jego objęcia i której robi on łaskę, dając mieszkanie i utrzymanie.

Skandaliczna ta sprawa stała się tematem ożywionych dyskusyj podczas five'u u żony gubernatora. Pani gubernatorowa, ciesząca się wielkiem powodzeniem, nietylko, jako żona najwyższego, miejscowego dygnitarza, lecz i jako osoba niezmiernie urocza, nie posiadała się z oburzenia.

— Takich ludzi nie powinno się przyjmować w uczciwych domach — powtarzała głośno raz po raz.

Nie wiadomo zresztą, czyby piękna pani wytrwała w swojem drakońskiem postanowieniu, gdyby nie okoliczność, że natychmiast po jej słowach, wygalowany lokaj zaanonsował wizytę bohatera sensacyjnej przygody.

— Nie przyjmować! — zawołała gubernatorowa i niezwyciężony dotąd podbójca serc pierwsy raz w życiu odszedł z kwitkiem od drzwi gościnnego domu.

Rozrywany dotąd przez wszystkie salony, złoty młodzieniec dławił się z pasji i konał z nudów w zupełnem osamotnieniu. Nadomiar złego, gubernator, solidaryzujący się z małżonką, czyzny, któryby był zdolny z bronią w ręku doodmówił uwodzicielowi swego poparcia w sprawie, dawno mu obiecanego w stolicy stanowiska. Zgnębiony tedy niełaską, prowincjonalny Don Juan poszedł wreszcie do Canossy i rozesłał bojkotującym go damom zawiadomienie o swym ślubie, spóźnionym.



Miss „Opinja".

Nie było to, podobno, jedno z najszczęśliwszych na świecie małżeństw, ale też i nie najgorsze. Bądź co bądź, nowa opinja, sterowana zręczną rączką gubernatorowej, zapobiegła przeobrażeniu narwanej, lecz z gruntu uczciwej dziewczyny — w ulicznicę, no i na dłuższy czas powściągnęła ekscesy innych prowincjonalnych Don Juanów.

Zawierucha dziejowa zmiotła z oblicza ziemi wiele tronów; inne zachwiała w posadach. Wstrząsnęła też tronem Jej Królewskiej Mości, Opinji. Gadatliwa ta starucha straciła zęby i nikogo nie jest w stanie ugryźć dotkliwie. Za to z tem większem upodobaniem, obryzguje wszystko i wszystkich dookoła strumieniem jadowitej śliny.

Dziś wszyscy mówią źle o wszystkich, nie wyciągając z tego żadnych konsekwencyj. Każda pani domu opowiada niestworzone historje o swoich gościach, nie zastanawiając się nad tem, jakie świadectwo wystawia sobie samej, przyjmuiac podobna kanalję.

Obgadywanie bliźnich stało się rozrywką niewinną i nieszkodliwą. Mówi się o ludziach i to co się o nich wie, i to, co się słyszało, i to, co się przypuszcza. i to. co ślina na język przyniesie... Czasem, gdy ktoś już bardzo przebierze miarę nieprawdopodobieństw, dodaje się z rozbrajającym uśmiechem:

— A zresztą, ona jest taka urocza, że doprawdy można jej wybaczyć i tych trzech mężów, co się na nią zrujnowali, i tych kochanków, na których się sama rujnuje.

Albo:

— To taki miły i zdolny człowiek, że się niewątpliwie wykaraska z kryminału, choć z pewnością kiedyś się tam dostanie za swoje mnogie sprawki.

Tak wyrażający się o bliźnich panowie i panie, są przekonani, że mówią o ludziach w sposób życzliwy i pełen pobłażliwości.

Rzeczywiście, na pobłażliwości nie zbywa powojennemu światu. Jadowita ślina bezzębnej Opinji pokryła wszystkich i wszystko jednakim liszajem, który nikomu w niczem już nie zawadza, gdyż jest wszystkim wspólny.

— Ktoby tam wierzył temu, co ludzie mówią?

— myśli każdy z nas, poznając człowieka o ujmującem obejściu i powierzchowności, o którym mówiono nam, jako o notorycznym oszuście.

I ten właśnie powszechny liszaj obmowy, przedziwnie immunizujący wszelkiego rodzaju opryszków, sprawia, że coraz inni, nie głupi skądinąd ludzie, padają ofiarą, mało nawet pomysłowych naciągaczów. A nieskazitelne matrony zapraszają do swoich domów i tolerują w towarzystwie swych córek — osoby, których imię wymawiałyby z obrzydzeniem, gdyby znały ich przeszłość i teraźniejszość.

Obecnie wierzy się wszystkim, albo nikomu. Jad obmowy został zastrzyknięty jako szczepienie ochronne. Nikt już nie zważa na ślinienie się bezzębnych ust Królowej Opinji, nikt się już z nią nie liczy.

— Czy dobrze jest tak, jak jest?

— Sądzę, że nie. Chaos bezkrólewia gorszy jest od najgorszej tyranji. Wierzę, że jak po każdem przesileniu państwowem przychodzi okres ładu w postaci dyktatury, tak i w życiu towarzyskiem doczekamy się jeszcze dyktatury Opinji, ale Opinji odrodzonej, odmłodzonej, *odpowiedzialnej*.

Niespodzianki Foxa



Amerykańskie biuro Fox szykuje nam same niespodzianki. Oto niespodziewanie przybył do Polski specjalny wóz do zdjęć dźwiękowych, dzięki któremu wykonanych zostanie kilka polskich numerów do międzynarodowego dziennika aktualności Foxa. Lecz o tem — potem. A tymczasem inna niespodzianka — to film z uroczą Janet Gaynor. Jaki — zobaczycie sami...

Szkoła zwięzłości

Choroba „braku miejsca" czyni zatrważające postępy w prasie warszawskiej. Redaktorzy naczelni „odwalają" już nietylko „kichy" i „tasiemce", ale i zwykłe artykuły czy nowele, przekraczające 150 wierszy druku. Minęły dobre czasy, kiedy to autor wchodził do gabinetu redaktora ze skromną minką i mówił:

— Mam aktualny artykuł, panie redaktorze.

— Czy aby nie za zwięzły? Czy rozwinął pan należycie myśl? Czy jest dostatecznie zrozumiały ogółowi czytelników? Czy potraktował pan sprawę poważnie, rzeczowo, jasno? Czy pan nie pominął czego? Oczywiście, nie lubię rozwlekłości ,ale trzeba dbać, aby czytelnik mógł sobie po przeczytaniu artykułu uzmysłowić pełen całokształt.

Minęły, powiadam, te czasy, kiedy redaktorowie dbali o czytelników. Kiedy tym ostatnim podawano artykuły i nowele, gdzie nie trzeba się było domyślać, czytać między wierszami i zgadywać z niedomówień.

O, obecnie w wieku rekordów szybkości, jest całkiem inaczej. Posłuchajcie:

— Mam artykuł aktualny, panie redaktorze. Krótki. 150 wierszy.

— Co? Z byka pan zleciał? Gdzie pan chce, żebym ja taką kichę zmieścił? Artykuł choćby wstępny, nie powinien przekraczać 80 wierszy. Adieu.

— Panie redaktorze, temat aktualny, sensacyjny.

— No, pokaż pan. — Ołówek „naczelnego" przejeżdża się bezlitośnie po artykule. — Dobry, ale można o połowę skrócić.

— Na miłość boską, będzie bez sensu.

— Nie pańska sprawa. Niech się czytelnik pomęczy. Zresztą im mniej sensu, tem artykuł wydaje się „mądrzejszy".

Innym razem „naczelny" daje mi takie instrukcje:

— Oto książka znanego francuskiego autora. Napisze pan o niej rzeczową recenzję. 50 wierszy maksimum.

Dwa dni czytam książkę, w której na czterystu stronach rozwinięta jest teza odwiecznego konfliktu między parlamentem a armją. Mimo najszczerszych wysiłków, tak poważnego tematu nie mogłem zmieścić w narzuconych ramach. Wyszło coś 120 wierszy.

Z tych 120 wierszy ołówek „naczelnego" zostawił tekstualnie tylko głowę i ogon. Wyglądało to mniej więcej tak:

„Stan armji francuskiej za drugiego cesarstwa był odzwierciadleniem całej ówczesnej epoki frywolnego romantyzmu. Nic też dziwnego, że po upadku cesarstwa nastąpił poważny konflikt między armją i parlamentem. Parlament uważał armję za kosztownego pasożyta. (Tu ołówek).

I dlatego francuski „poilu" wyszedł z ostatniej wojny zwycięsko.

Nie wątpimy, że książka ta znajdzie wielu chętnych czytelników. Z tego, co napisaliśmy, widać bowiem, jak rzeczowo i obrazowo ujmuje tę drażliwą kwestję znakomity autor".

Bez komentarzy.

Myślicie, że to wszystko? O, nie. Wczoraj otrzymałem od „naczelnego" taki rozkaz:

— Proszę mi napisać na jutro artykuł wstępny na temat: „Morze Śródziemne a równowaga europejska". Mają w nim być poruszone następujące zagadnienia: Rola militarna Morza Śródziemnego, stan sił lądowych i wodnych państw śródziemnomorskich, konflikty franko-italski i italo-serbski, sprawa Fiume, wrzenie na Krecie, polityka Venizelosa, tarcia grecko-tureckie, kwestja cieśnin, Tunis i Cyrenajka, Suez, Malta, Gibraltar i hegemonja brytyjska, znaczenie kolonji dla Francji, tendencje pokojowe lub zaborcze państw zainteresowanych, szczególna rola faszyzmu, czego możemy spodziewać się na przyszłość i stosunek Polski do sytuacji na morzu Śródziemnem. Wszystko razem musi być treściwe, bardzo treściwe. Najwyżej sto wierszy.

— Ależ, panie redaktorze. Same podtytuły zajmą pięćdziesiąt. To niemożliwe.

— *Impossible, n'est pas militaire,* — odpowiada mi mój marsowy redaktor, tonem i słowami Napoleona.

Poszedłem do domu i pół nocy siedziałem nad „treściwym" artykułem. Kreśliłem, kombinowałem, skracałem. Wszystko na nic. Więc rozgniewałem się i poszedłem spać.

Nad ranem dusiły mnie koszmary. Śniły mi się olbrzymie nożyce i niebieski ołówek „naczelnego". Przebudziłem się, zlany potem. A że już zasnąć nie mogłem, więc wziąłem się do pisania.

Myślicie, żem stworzył ów telegraficzny artykuł? O, nie. Dokonałem czegoś znacznie lepszego. Rekordowego niemal. Napisałem nowelkę.

Jest w niej życie cow-boyów, powódź, kopalnia złota, wybuch, wiarołomna żona i *happy end* u pastora. A wszystko razem nie zabiera nawet trzech wierszy. Posłuchajcie:

„Pani Smith wyszła pod pozorem pracy na działce, w rzeczywistości zaś czekał na nią Jim O'Connor. Tom Smith zaczął suszyć przy piecu rozmokły w czasie powodzi dynamit. Okazało się, że jego nowe ubranie pasowało doskonale na drugiego męża pani Smith". Koniec.

Tym razem, sądzę, że „naczelny" weźmie. A zresztą — kto wie? Może inny „modny i nowoczesny" autor zmieściłby to w jednym wierszu...

Jimmy.

Impresje teatralne

Teatr Letni: „Noc Sylwestrowa" Stefana Krzywoszewskiego.

Był to jubileusz 35-lecia pracy scenicznej Antoniego Fertnera, o nim więc przedewszystkiem mowa będzie. Chciałoby się powiedzieć — nasz „L'homme qui rit", ale nie! Niesamowita wizja mimowolnego śmieszka balzakowskiego nie ma tu zgoła zastosowania. Fertner — to skondensowana „vis comica", to stale wybuchający wulkan humoru, z którego nieustannie płynie wartką falą lawa śmiechu. W życiu, jak na scenie, zawsze pogodny, uśmiechnięty, tryskający radością życia, przytem zaś humor Fertnera ma tę wielką zaletę, że jest czysty, niesfałszowany i nie zjadliwy. Dobroduszny, poczciwy, ujmujący.

Takim był również w nowej sztuce Krzywoszewskiego na temat przeżycia pewnej „nocy sylwestrowej", podczas której jakiś lekkoduch zakradł się do domu bogatego przemysłowca, aby zamącić serca aż trzem niewiastom. Perypetje te podobały się ogólnie, to też nowa sztuka Krzywoszewskiego cieszy się, wzorem poprzednich, dużem powodzeniem. Zawdzięcza to w równej mierze talentowi dramatopisarskiemu autora, jak zgoła rekordowej obsadzie, rzadko spotykanej na scenach polskich. Z jednej strony — Gorczyńska i Smosarska, z drugiej zaś: Osterwa, Fertner i Kurnakowicz. Nawet w rolach mniejszych: Różańska i Orwid. Gra była znakomita. Dekoracja bardzo piękna ,negliże pp. Smosarskiej i Gorczyńskiej wręcz olśniewające. O grze poszczególnych artystów, nic nie piszę, bo to się opisać nie da. To trzeba samemu zobaczyć.



Smosarska i Osterwa w „Nocy karnawałowej". (Fot. Malarski.)



Węgierko i Romanówna tworzą piękną parę w „Jasiu z księżyca". (fot. Brzozowski).

Teatr Mały: „Jaś z księżyca", komedja Marcelego Acharda.

Od dziś nieznany mi dotąd p. Marceli Achard jest moim najulubieńszym autorem dramatycznym. Dotąd był Szaniawski. Ale ten jest jeszcze bardziej... Szaniawski. Cześć mu za jego światły umysł, za jego rewelacyjną mądrość, za jego promienny talent, za jego „złotoustość"!

Achard nazwał swego Jasia — „z księżyca". Bo takich Jasiów na ziemi niema, a jeżeli są, to bardzo nieliczni. Gdyby zaś wszyscy ludzie na ziemi stali się „z księżyca", byłaby to już nie ziemia, lecz niebo, raj, szczęśliwość wieczna. Jaś jest takim unikatem (niestety!), który uwierzył w siłę wiary. Pojął przedziwną jasnością swego umysłu, że kto kocha, ten wierzy. I że tylko ten, kto wierzy — kocha prawdziwie. Że miłość polega na zaufaniu, że gdzie niema zaufania, niema miłości, jest tylko zazdrość. Zazdrość, która zabija miłość. Bo zazdrość dręczy, męczy, krzywdzi, a kto przyczynia ból — ten nie kocha. Człowiek zazdrosny nie kocha swej „ukochanej" istoty, lecz tylko swą miłość ku niej. Człowiek zazdrosny zmusza swą „ukochaną" istotę do kłamstwa, podnieca jej chęć faktycznego zdradzania go, bo owoc zakazany nęci. Gdy się pragnie wierności, nie wolno zabraniać zdrady. Nikt jeszcze w literaturze dramatycznej nie kochał tak pięknie, wzniośle, idealnie, szczerze, prawdziwie, jak „Jaś z księżyca".

Nie widziałem, jak grają tę cudną, boską, przepiękną sztukę Acharda gdzieindziej. I nie chcę widzieć. Bo z pewnością np. nikt nie zagra tak Klaudjusza, jak Maszyński, aktor, przerastający swym talentem wszelkie granice wyobraźni. A co za rozkosz patrzeć, jak z dnia na dzień dojrzewa i pięknieje soczysty talent Romanówny, niezrównanej zwłaszcza w momentach szczerego liryzmu! Węgierko jest wymarzony do ról młodzieńców „niezwykłych". Nawet Buszyński, aktor wybitnie dla mnie niesympatyczny, podobał mi się tym razem, bodaj po raz pierwszy w życiu. Nie wiem, zresztą, czy tak było, bo byłem sztuką tak zachwycony, olśniony, oczarowany, że pod tem wielkiem wrażeniem entuzjastycznego upojenia podobało mi się w niej wszystko, wszystko, wszystko!

Henryk Liński.

SPORTY A URODA

Wślad za rozwojem sportów postępuje i chemja kosmetyczna. Jej zadaniem jest ochrona cery przed ujemnym wpływem słońca oraz zmian atmosferycznych. Wichry, utrata ciepła w chłodnej porze, wilgoć, promienie słońca, oto czynniki, których szkodliwość obserwujemy na przedwcześnie starzejących się twarzach wieśniaczek. Do tego celu posługiwano się dotychczas zgoła nieodpowiedniemi tłuszczami, ponieważ nie zawierały specyficznych składników roślinnych, odpowiadających wielostronnym wymogom ochrony. Brak ten wypełnił obecnie, przystępny dla każdego, krem sportowy „Ultrasol" D-ra Lustra, który radzę wogóle jako podkład pod puder egzotyczny stosować. Dla osób o tłustej cerze wskazane jest mleczko — „Lityna" pod puder egzotyczny, tudzież roślinny róż „Miraculum". Ponieważ kolory czerwone mają wybitny wpływ ochronny, znajdzie roślinny róż „Miraculum" obszerne zastosowanie.

Dr. Zenon B.

PIERRE MAC ORLAN. 20

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal Motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja - Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

— Czy ja wiem? — zaśmiała się Chéri-Bibi. — Przez cały dzień onegdajszy czyhałam na niego, bawiąc się piłką przed restauracją na ul. Lemarck... Pan Lehugeux mnie tam posłał... Zna go pan?

— Tak, wiesz dobrze, przecież przyszedł do mnie na kieliszek jakieś dziesięć dni temu. Juan Hortilopitz był mu winien pieniądze. Więc rozumiesz, zależało mu na tem, żeby nie zwiał.

— Oczywiście — potwierdziła Chéri-Bibi poważnie.

— Co matka robi dziś po południu?

— Nic, zostanie w domu.

— W takim razie nie będziesz jej potrzebna?

— Nie.

— Doskonale. Posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli będziesz miała za długi język, oddam cię do domu poprawczego aż do pełnoletności. Rozumiesz, mała? Dobrze. Pójdziesz się bawić między godziną czwartą i szóstą przed Continental-Hotel z koleżankami, którym nic nie powiesz. Będę siedział w małej kawiarence na rogu. Wiesz, gdzie? Dobrze. Jeśli zobaczysz, że pani Saint-Thierry wychodzi sama, przylecisz natychmiast mi powiedzieć.

— Rozumiem — powiedziała Chéri-Bibi, zapinając palto. — Tylko niech pan nie złapie drugiego bronchitu w prawą rękę.

XVI.

Marja-Chantal spojrzała na zegar. Była siódma. Zapakowała do pudełka z etykietą wielkiego magazynu resztę bielizny, którą jeszcze posiadała, i kilka nędznych przyborów tualetowych. Włożyła kapelusz przed lustrem. Była wreszcie gotowa. Jej dawne życie skończy się w chwili, kiedy po raz ostatni przestąpi próg tego pokoju. Od południa rozmyślała naczczo nad wyjściem ze swojej sytuacji. Pozostawało jej jedno z dwojga:

1) Zwrócić się do Muttera, ulec mu i później go wykorzystać,

2) Zobaczyć się z Pedralbezem i kazać się wysłać do domu publicznego w Buenos-Aires albo San-Paolo.

Dokoła niej roztaczała się noc, która trwała już sześć miesięcy. Marja-Chantal widziała przed sobą tylko dwie drogi, które pozwoliłyby jej wyjść z tego mroku: jedna prowadziła przez miłość do bliższego poznania Muttera, druga zapewniłaby jej ciepło, chleb, sól, i wino oficjalnej prostytucji.

— Dalej! — powiedziała, zdecydowawszy się nagle.

Ale nie otworzyła jeszcze drzwi. Zadowolniła się dopiero zdjęciem ze stołu swojej mizernej paczki. Odłożyła ją prędko z powrotem i usiadła przy oknie, aby popatrzeć na ulicę. Rebicant już dwa razy przychodził pytać, czy pan Saint-Thierry jest w domu.

— Miał mi dziś zapłacić — tłumaczył się.

Marja-Chantal odpowiedziała mu spokojnie, że mąż wróci późno w nocy.

— Będę czekał na niego.

A widząc, że Marja-Chantal była gotowa do wyjścia, dodał:

— Może pani zabrać swoją bieliznę. Rozumie pani chyba, że niewieleby za to dostał na pokrycie długu. Ale niech pani powie mężowi, jak wróci, że pozwolę mu nocować w tym pokoju tylko pod warunkiem, że przyniesie mi pieniądze przed północą. Przyjdę po klucz, zanim się położę.

— Na pewno dziś wieczorem zapłacimy — powiedziała Marja-Chantal.

Jakieś dziwne odrętwienie nie pozwalało jej się ruszyć z tego pokoju.

— Niech pan wyjdzie — powiedziała łagodnie.

Rebicant, trochę zdziwiony, wyszedł bez słowa.

Marja-Chantal spojrzała znów na zegar. Była dziewiąta. Czuła rozpaczliwy głód. Machinalnie szukała w szufladzie stołu i w szafie resztek chleba. Robiła to, żeby siebie samą oszukać, wiedziała dobrze, że nic nie znajdzie. Nagle przyszła jej cudowna myśl.

— Jeśli zechcę, za pół godziny będę mogła jeść z Mutterem... Pod warunkiem, że jest w domu. O tej porze to wątpliwe. Wiem, gdzie go mogę znaleźć: w małej restauracji na ul. Lepic.

Marja-Chantal przeszła się po pokoju, rozwinęła paczkę i zdjęła kapelusz.

Wiedziała teraz, nie starając się zrozumieć sensu swej decyzji, że będzie czekała na powrót męża.

Marja-Chantal, siedząc nieruchomo w jedynym fotelu, oddawała się kojącym rozmyślaniom. Wszystko, co miało się stać, wydawało jej się szczegółem dziwacznej ceremonji. Za kilka minut, za kilka godzin, Szymon weźmie ją za rękę. Drzwi Continental-Hotelu otworzą się ostrożnie na ulicę, pogrążoną w nocy, pełnej dziwacznych widziadeł. Zmęczona i głodna usnęła.

Saint-Thierry obudził ją koło godziny w pół do dwunastej.

— Widziałem się z Rebicantem — mówił. — Musimy stąd iść. Mamy przykrą noc przed sobą, ale jutro wszystko się ułoży. Jestem pewien. Daj mi twoje pudełko, zostawimy je do jutra w kawiarence.

Marja-Chantal włożyła kapelusz i wyszła za Szymonem, który niósł pudełko z bielizną.

Noc była ciepła i widna. Wszystkie sklepy były zamknięte. Mała kawiarenka oświetlała kilka pustych stolików. Saint-Thierry wszedł, żeby zostawić pudełko.

— Moja żona jutro po to przyjdzie — powiedział.

W kawiarni były tylko trzy osoby. Jeden z gości szukał czegoś pod stołem. Saint-Thierry nie mógł widzieć jego twarzy. Człowiek ten wstał, gdy Saint-Thierry zamknął drzwi. To był Eligjusz Mutter. Sapał, jak miech. Spojrzał porozumiewawczo na swego towarzysza.

— Nie ma złej twarzy — powiedział.

Trzej goście wyszli pośpiesznie.

— Nie warto się śpieszyć — mówił Eligjusz Mutter. — Jeszcze raz wam radzę, miejcie się na baczności.

Saint-Thierry i jego żona wydawali się wyżsi we mgle. Skręcili w ulicę Tholozé i zmieszali się z tłumem, który wychodził z „Moulin de la Galette".

Przechodząc koło „Lisa", Saint-Thierry zajrzał do środka. Sala była prawie pusta. Nie mógł już wejść do „Lisa". Od sześciu miesięcy nie miał prawa wstępu do tego lokalu.

— Chodźmy do Marty — powiedział. — Jeśli Flahaut tam jest, może da się wzruszyć. Dziś nie chciał mnie przyjąć.

Przeszli bulwar Clichy.

— Wiesz — powiedziała nagle Marja-Chantal — zdaje mi się, że ktoś nas śledzi.

Saint-Thierry obejrzał się ostrożnie. W odległości dwudziestu kroków, dwóch ludzi, osłoniętych mgłą, rozmawiało z ożywieniem.

Saint-Thierry patrzył uważnie.

— Chodź — powiedział do żony. — To... policja obyczajowa... Zobaczymy zaraz.

— Masz broń? — spytała Marja-Chantal niespokojnie.

— Nie... — odparł Saint-Thierry z wahaniem.

Szli środkiem bulwaru Rochechouart, nie śpiesząc się, między dwoma szeregami nagich drzew. Była godzina druga w nocy, kiedy dotarli do skweru na ulicy Anvers.

— Jestem zmęczona — jęknęła żałośnie Marja-Chantal.

Saint-Thierry rozejrzał się uważnie dokoła siebie. Nie widział żadnej podejrzanej postaci. Jakaś taksówka zaniepokoiła go trochę. Odetchnął z ulgą, gdy samochód skręcił w ulicę Dunkerque.

— Usiądźmy na chwilę na ławce. Później pójdziemy do hal. O czwartej nad ranem będę miał robotę. Zaczekasz na mnie przy kawie. Do siódmej zarobię tyle pieniędzy, że wystarczy nam na wynajęcie pokoju na tydzień i jedzenie przez trzy dni... Moje biedne maleństwo...

Usiedli. Zima była łagodna. Saint-Thierry i Marja-Chantal czuli się dobrze na tej ławce. Marzyli o kilku chwilach spokoju, jak o najwyższem szczęściu.

— Nie widać nas stąd — powiedziała Marja-Chantal.

Szymon siedział z głową opuszczoną na piersi, rękami w kieszeniach. Wpadł w rozkoszne odrętwienie. Marja-Chantal, oparłszy głowę na jego ramieniu, drzemała.

Saint-Thierry czuł, że droga, którą szedł przez dwa lata, doprowadzi go do celu. Widział się znów w Barcelonie, w „Sewilli", na Parallelo. Tam spotkał Andrzeja Bossette, dezertera z armji francuskiej. Młoda ognista dziewczyna śpiewała wtedy „Oso que Mano", zwracając się do całej sali. Bossette rzucił śpiewaczce swoją czapkę, ale uczynił to niezręcznie, bo trafił nią Szymonowi w twarz. Z ożywionej rozmowy zrodziła się przyjaźń. Saint-Thierry, który nazywał się Pedro Garcias (panieńskie nazwisko jego matki), znał mały bar na ulicy Arche du Théatre. Poznał tam kapitana Juana Hortilopitza i Symeona, którego nazywano „złym księdzem". Saint-Thierry prędko zaczął brać udział w zajęciach swych towarzyszy. Trzeba było pracować przy kontrabandzie broni. Juan Hortilopitz był przywódcą. W tej wyprawie został ranny. Kiedy przyszła kolej na Saint-Thierry'ego, Symeon, który wrócił z Paryża, wskazał mu bar ojca Noel. Stary spał na swoich skarbach. Nie miał żadnych pieniędzy w banku. Symeon zbadał teren. Był to pracownik spokojny i wytrwały. Powiedział Szymonowi tysiące interesujących szczegółów. Zdaleka, z Barcelony, sprawa wydawała się tak łatwa, że Saint-Thierry palił się do wyjazdu.

Saint-Thierry wymyślił skomplikowany scenarjusz, aby utrudnić pracę policji. Wybrał z książki adresowej na chybił-trafił dziesięć nazwisk, należących do osób, o których niewiele wiedział. Pięć odpowiedziało na jego listy i telefony. Saint-Thierry zbadał teren działań w przebraniu kobiety.

Spędził całą noc w knajpce. Mężczyźni zapraszali go do tańca. Jego ładna twarz nie potrzebowała szminki. Przed godziną dziesiątą, udało mu się wejść przez okno do pokoju starego na pierwszem piętrze. Okno to wychodziło na maleńkie podwórko, zawalone pustemi skrzyniami po butelkach od wina. Trzeba było znać drogę, aby w razie czego, udawać pomyłkę. Symeon dał mu wszystkie wyjaśnienia, które Saint-Thierry przyszedł skontrolować po południu, pytając kelnera o wejście do umywalni. Szymon miał klucz od bramy podwórza.

Ukryty za firanką, z nożem w ręce, czekał na powrót starego. O trzeciej nad ranem — kelner spał już od godziny — le-Caid wszedł do pokoju, sapiąc i postękując.

Zamknął starannie drzwi, usiadł na łóżku, wciągnął powietrze głęboko i zadecydował:

— Jakiś dziwny zapach.

Podszedł do okna i uderzył laską w okiennice, za któremi ukrywał się Saint-Thierry. Szymon, bardziej spłaszczony, niż afisz teatralny, wstrzymywał oddech, gotów do skoku. Stary położył się wreszcie i zgasił światło. Wtedy Szymon wyślizgnął się ostrożnie ze swej kryjówki, le Caid zawołał przerażony:

— Tu ktoś jest!

Saint-Thierry rzucił się na łóżko, znęcając się nożem nad swą ofiarą. Le Caid starał się ugryźć napastnika. Przy czwartem uderzeniu w szyję Saint-Thierry poczuł, że ciało starego słabnie. Wstał. Jego suknie kobiece przesiąknięte były krwią. Umył ręce i zaczął szukać złota... Znalazł pod materacem płócienny worek, pełen banknotów, wypchany portfel i kilkaset franków w kieszeniach zamordowanego. Uciekł tą samą drogą, którą przyszedł, zarzuciwszy płaszcz, który okrył go od stóp do głów. Wrócił do hotelu o siódmej nad ranem. Potem owinął drutem zakrwawione suknie, przyczepił do nich ciężar stufuntowy i wrzucił paczkę do Sekwany, upewniwszy się, że nikogo niema w pobliżu.

Saint-Thierry przypomniał sobie dokładnie cały przebieg dramatu. Ale zdawało mu się teraz, że morderca le Caida i człowiek, którym stał się obecnie, nie są jedną osobą. Saint-Thierry ukradł tylko sto pięćdziesiąt tysięcy franków, nie natrafił bowiem na właściwy skarb. Z tego pięćdziesiąt tysięcy dostał Bossette, Hortilopitz i Symeon. Reszta została dla niego. Właśnie z powodu tego podziału pokłócił się ze swymi towarzyszami. Wyjazd do Barcelony nie zdołał przywrócić dawnej komitywy.

Marja-Chantal obudziła się. Wstała, przeszła kilka kroków w kierunku skwerku Anvers i wróciła na ławkę.

— O czem myślisz? — spytała.

— Co?... — ocknął się Saint-Thierry. — Nie możemy tu zostać. Która godzina?

— Chodź — powiedziała łagodnie Marja-Chantal. — Zaziębisz się.

Saint-Thierry wstał z trudem. Marja-Chantal wzięła go znów za rękę i poszli w stronę skwerku.

Przeraźliwy gwizdek kazał im się zatrzymać. Czterech silnych mężczyzn wyskoczyło z mgły. Otoczyli go kołem.

Saint-Thierry cofnął się do muru. Poznał między nimi Muttera.

— Uwaga! — zawołał Eligjusz Mutter.

Szymon wystrzelił z rewolweru, ukrytego w kieszeni płaszcza. Straszny huk przerwał nocną ciszę. Eligjusz Mutter jęknął i upadł twarzą na ziemię. Saint-Thierry wymachiwał rewolwerem nad głową. Starał się wyrwać z rąk napastników, ale w tej chwili kula trafiła go w pierś.

Usiłował uczepić się drzewa, które w dziwny sposób wysunęło mu się z pod ręki. Słyszał, że mówiono przy nim w jakimś niezrozumiałym języku. Zarył palcami ziemię i skonał.

— Stary jest ranny — powiedział ktoś.

Dwaj policjanci przytrzymywali Muttera, któremu nogi odmawiały posłuszeństwa. Mutter wskazał palcem na Marję-Chantal, biegnącą w kierunku oświetlonego baru. Policjant na rowerze dogonił ją i zatrzymał. Marja-Chantal nie starała się wcale wyrwać. Czuła, że wstępuje w mrok, zupełnie jej nieznany, w mrok, w jaki wciągnął ją policjant — Eligjusz Mutter tego ranka, kiedy spotkał ją po raz pierwszy.

KONIEC.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA SYLABOWA.

	a	b	c	d	e	f	g	h
8			■				■	
7	■				■			
6		■				■		■
5				■		■		
4	■		■			■		
3					■		■	
2		■						
1	■						■	■

Znaczenie wyrazów pionowych.

b8 Kapłan tybetański
d8 Kraj w Ameryce
f8 Miejsce w kościele
h8 Napój
g7 Prowizoryczna konstrukcja
c7 Ludzie pewnego zawodu
a6 Tancerz
e6 Pozbawienie wolności
b5 Inaczej: mierzyli wagą
h5 Pochodząca z Damaszku
d4 Wojskowy
a3 Termin muzyczny
c3 Demonstrowania
f3 Mięczak

Wyrazy poziome

a8 Figura geometryczna
d8 Roślina
b7 Imię żeńskie
f7 Conditio
c6 Czynność naukowa
a5 Imię męskie
g5 Przeciwieństwo zalety
d4 Miara odległości
g4 Brak
d3 Półwysep w Europie
c2 Choroba
f2 Słynna malarka polska
b1 Rodzaj wozu kolejowego (l. mn.).

Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki sylabowej z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 25 lutego.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 1.

Rekonstrukcja kwadratu magicznego.

k	r	a	t	a
r	o	m	a	n
a	m	a	n	t
t	a	n	i	o
a	n	t	o	ś

Zadanie konikowe.

Na szafirowem nieba tle —
W seledynowej lekkiej mgle
księżyc
Śnieg skrzy się — słychać chrzęst i skrzyp
Patrzy przez srebrne kwiaty szyb
księżyc.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 3.

Rekonstrukcja krzyżówki sylabowej.

prze	pa	da	nie	■
ba	ra	ni	na	■
cze	■	na	sy	py
nie	bo	■	co	■
■	a	te	ny	■

Metamorfoza.

KURZ
KURA
KORA
PORA
POLA

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z Nr. 3 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

25 zł.

p. Eugenja Wachowiczówna, Niwiski, poczta Siedlce. Książki beletrystyczne: pp. Dolnicka Janina, Stanisławów, Parowozownia; J. Lewenstein z Warszawy.





WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Książę rzezimieszków.

Człowiek ten, o którym dzisiaj będziemy mówić, a który przez kilkanaście lat trzymał w napięciu wszystkie policje europejskie, nie był właściwie hochstaplerem, a raczej szczurem hotelowym. Polował on tylko na kosztowności. Krótka jego karjera życiowa, której lwią część przesiedział za kratkami więzień, obfitowała w niezliczone kradzieże, dokonywane w nadzwyczaj niewyszukany sposób. Sam zresztą bohater włamań hotelowych, Jerzy Manolescu, opisuje to w swych pamiętnikach. Metoda jego polegała na tem, że starał się przedostać do wnętrza hotelu, nie będąc widzianym przez portjera, ani żadnego boy'a, poczem wchodził na pierwsze piętro i tam rozpoczynał swoje „operacje".

Pukał do pierwszych lepszych drzwi, a skoro usłyszał głos: „Wejść!", wtedy przepraszał mieszkańca tego numeru za niepokój, tłómacząc się, że się pomylił w numerach. I tak wędrował z pokoju do pokoju, aż wreszcie natrafiwszy na pusty, zręcznie otwierał zamek, wchodził, szybko przeprowadzał rewizję, zabierając tylko klejnoty, względnie gotówkę, poczem ulatniał się niepostrzeżenie.

Nigdy nie kusił się wchodzić na drugie piętro, a to dla dwuch powodów: ponieważ na pierwszem piętrze mieszkają przeważnie najzamożniejsi lokatorzy, wreszcie dlatego, że z pierwszego piętra jest krótsza droga do ucieczki na ulicę.

Jerzy Manolescu urodził się 20 maja 1871 roku w Ploesci, w Rumunji. Ojciec jego był rotmistrzem kawalerji, człowiekiem dumnym, odpychającym, o brutalnym i gwałtownym charakterze. Posiadał cztery żony, przyczem Jezry był jego synem z pierwszego małżeństwa. Matka Jerzego, która go osierociła w drugim roku życia, odznaczała się niepowszednią urodą, zyskując sobie miano: „piękniej góralki".

Manolescu, poczuwszy wstręt do służby wojskowej, uciekł przed poborem do Wiednia. Wkrótce potem znalazł się w Paryżu, a ponieważ jego sakiewka wypróżniła się nadspodziewanie szybko, rozpoczął swój ponury zawód, zyskując na wstępie cztery lata więzienia.

Przydomek „księcia rzezimieszków" zawdzięcza zarówno swemu wyglądowi zewnętrznemu, jak i cechom charakteru, najzupełniej niewspółmiernemu do uprawianego zawodu, wreszcie sposobowi dokonywania włamań. Manolescu, zawsze wytwornie ubrany, podług wymagań ostatniej mody, o usposobieniu wesołem, dowcipny, tryskający humorem i zadowoleniem, nieprzypominał zupełnie swego ojca brutala, oraz twardego ,żołnierskiego środowiska, w którem się wychował. Charakterystyczną cechą, skrzętnie przytem zapisaną we wszystkich kartotekach policyjnych, była jego delikatna, niemal kobieca ręka, którą umiał zarówno wdzięcznie manewrować podczas rozmowy, jak również i wyłamywać zamki. Jeżeli zaś chodziłoby nam o scharakteryzowanie jego działalności włamywacza, to ogromnie pasowałoby tu powiedzenie: „że fruwał z kwiatka na kwiatek", przyczem należałoby tylko pod kwiatek — miłość wstawić pojęcie kwiatek — włamanie. Tak był lekki w dokonywaniu przestępstw.

Po wyjściu z więzienia paryskiego, Manolescu wyjeżdża na „słoneczny brzeg", gdzie operuje w najbardziej luksusowych hotelach. Wreszcie, pochwycony przez policję, odsiaduje 18 miesięcy aresztu. W dwa miesiące później, poznaje w pociągu błyskawicznym ,idącym do Lucerny, pewną hrabinę z córką. Przedstawia się obu paniom pod swym prawdziwym nazwiskiem, a prócz tego jako zamożny obywatel ziemski z Rumunji, studjujący tu, na Zachodzie, prawo. Panie są zachwycone pięknym młodzieńcem, które je ujął odrazu za serce swą beztroską, humorem, dowcipem, no... i zamożnością. Nie upływa nawet jeden miesiąc, kiedy Manolescu staje na kobiercu ślubnym z młodą arystokratką.

Małżeństwo pobłogosławił arcybiskup z Genuy, poczem młodzi udają się spędzić miodowy miesiąc nad jezioro Bodeńskie, do własnej willi. Jednakże sielanka trwa bardzo niedługo. Pieniądze młodego żonkosia topnieją z przerażającą szybkością. Pieniądze z Rumunji jakoś nie nadchodzą. Manolescu porzuca wreszcie swą młodą małżonkę, oświadczając, że jedzie wystarać się o posadę dyrektora hotelu w Kairze. Było to w sierpniu 1899 roku.

Udaje się on do Lucerny, gdzie w hotelu „Schweizerhof" popełnia wielką kradzież, za którą chwytają go we wrześniu, we Frankfurcie nad Menem. Natychmiast pisze do swej żony, nie mówiąc jej oczywiście nic o powodach aresztowania. Pani Manolescu przybywa natychmiast do Frankfurtu, uzyskuje widzenie z mężem, podczas, którego dowiaduje się o jego całej, niesławnej przeszłości. Oczywiście żąda od męża rozwodu, na co otrzymuje jego zgodę.

Po sześciomiesięcznej karze, Manolescu rozpoczyna dalej swą pracę, występując jednak teraz pod nazwiskiem księcia Jerzego Lahowary. Terenem jego działalności jest Baden - Baden, Moguncja, wreszcie Berlin. Po włamaniach w hotelach „Bristol" i „Kaiserhof", na Unter den Linden, sprzedaje cały łup w Dreznie, u nadwornego jubilera, poczem ucieka na Południe. W Genui dosięga go ręka sprawiedliwości, stawiony przed sądem, składa zeznania w tak dziwaczny sposób, że wreszcie kolegjum sędziowskie decyduje się odesłać go do domu zdrowia pod obserwację psychjatrów. Ekspertyza lekarska konstatuje w Manolescu patologiczne zwyrodnienie charakteru. W maju 1902 roku zostaje Manolescu zamknięty w domu warjatów. W lipcu 1903 roku zmyliwszy czujność dozorców ucieka i przez Drezno zajeżdża do Insbrucku. Tutaj, w zwykły sposób zdobywa sobie ubrania i pieniądze, poczem jedzie do Wiednia. Jednakże jest to koniec jego karjery włamywacza. Listy gończe, rozesłane po jego ucieczcie z domu warjatów, docierają również do Wiednia, gdzie Manolescu jest zdemaskowany przez dyrektora hotelu, w którym się zatrzymał. Jednakże policja austrjacka nie może go aresztować, ponieważ na terenie Austrji nie popełnił do tej pory żadnego przestępstwa. Zwraca się więc do policji niemieckiej, która ze swej strony chętnie umywa ręce i oświadcza, że nie chce więcej przyjmować na swe terytorjum zdegenerowanego przestępcy. Wobec tego, Manolescu zostaje odstawoiny do granicy rumuńskiej.

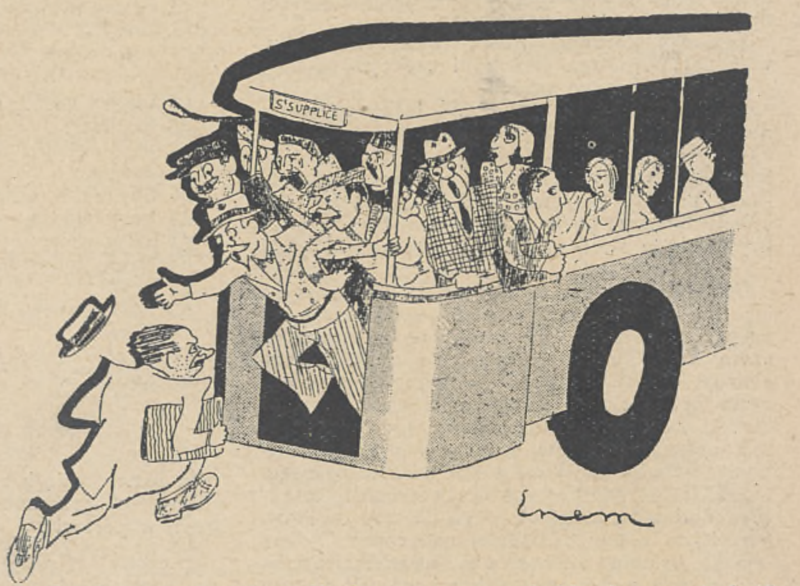
W ojczyźnie Manolescu czuje się zupełnie bezpiecznie. Pisze tutaj swoje pamiętniki, żyjąc z pokaźnych dochodów, które mu przynoszą liczne wydania jego książki. Jednak znudziwszy sobie siedzący tryb życia, wyjeżdża do Medjolanu, gdzie poznaje pewną bogatą damę, z którą się żeni. Dama ta, znała całą jego przeszłość, pomimo to niezawahała się ani na chwilę przed tym niebezpiecznym związkiem.

I nie zawiodła się na swym małżonku. Syt przygód i awanturniczego życia, „książę rzezimieszków" pędzi spokojny żywot u boku kobiety, która go naprawdę kocha. Niedługo jednak trwa szczęście małżeńskie. Manolescu cierpi na gruźlicę kości, w wyniku której odejmują



— Brochard? — Kto? — Pan — Ja? — Tak! — Nie!

(Rire.)



— Jeżeli pan może tak prędko biec, to czego u djabła chce pan jechać?

(Rire.)

mu prawe ramię. Nie powstrzymuje to postępów choroby, która wreszcie powala Manolescu na łoże śmierci. Umarł w wieku 36 lat, szczerze opłakiwany przez swą żonę.

— — — — — — — — — — — — —

Do dziś dnia zastanawiają się wybitni prawnicy i badacze wielkich, sensacyjnych procesów nad zagadnieniem: czy Manolescu był chory umysłowo? Czy może udawał chorobę umysłową? Lub też był warjatem, a jednak potrafił symulować zdrowy rozsądek?

Na pytanie bowiem: Czy Jerzy Manolescu jest chory umysłowo, on sam odpowiedział: „Nie!"; słynni berlińscy lekarze sądowi: „Tak!"; wiedeńscy lekarze orzekli jednogłośnie: „Nie!"; psychjatrzy z Lucerny, również jednogłośnie: „Tak!"; obrońca, dr. Schwindt: „Nie!"; sędzia śledczy, dr. Massmann: „Tak!"; słynny lekarz chorób nerwowych, prof. dr. Koeppen: „Tak!"; wreszcie pierwsza żona Manolescu oświadczyła: „Nie!" Tego rodzaju rozbieżność zdań, ludzi, którzy mają przesubtelniony i zaostrzony do ostatnich granic zmysł podejrzliwości na symulację choroby umysłowej u podsądnych, rzadko zdarzała się w dziejach sądownictwa.

A oto ustęp z protokułu przesłuchiwań Manolescu:

— Pod jakim nazwiskiem występował pan w ostatnich czasach?

Na to Manolescu ze stanowczością: Oczywiście jako książe Lahowary.

— W jaki sposób doszedł pan do tego tytułu?

— Ah! on sam do mnie doszedł, panie doktorze! Moi przodkowie mogli się już podpisywać tytułami księcia Lahowary od roku 1160.

— A, dlaczego pański ojciec nigdy tego tytułu nie używał?

— Pan rotmistrz był z niego bardzo dumny.

— Jest pan podejrzany o kradzież dokumentów u księcia Lahowary, która została popełniona parę lat temu.

— Nie, panie doktorze. Nigdy nie kradłem cudzych dokumentów. Zawsze występowałem pod własnem nazwiskiem, które bardzo cenię.

— Czemu pan porzucił swą rodzinę?

Manolescu zaczyna płakać, poczem odpowiada głosem, przerywanym przez łkanie: Przyczyna tego była moja macocha.

— W Lucernie dokonał pan kradzieży klejnotów, na sumę 15.000 marek?

— Tak jest, panie doktorze!

— Niech pan się teraz zastanowi, czy w Rumunji, w domu książąt Lahowary, dopuszczalna jest kradzież klejnotów?

Manolescu po chwili skupionego zastanowienia się: „Tak, to jest jednak coś nie w porządku".

— Czy pan sądzi, że gdziekolwiek na świecie kradzież jest dozwolona?

— Widzi, pan, panie doktorze, jak ujrzę, że coś leży, to zaraz biorę. O, naprzykład, ten ołówek u pana na stole. Biorę go do ręki, chowam do kieszeni i... dowidzenia! (Manolescu kładzie znów ołówek na stół sędziego). Jeżeli to są ludzie bogaci, to nie gra to dla nich wielkiej roli! Ale dlaczego ja, książe Lahowary, mam przepędzić święta Wielkanocne przy pilznerze, kiedy inn luidzie, niższej kondycji odemnie, popijają szampana? Nie, ja w tem nic nie widzę zdrożnego, przeciwnie, pewną niesprawiedliwość.

— No tak! Posiada pan dosyć osobliwe poglądy na stosunki społeczne.

I mniej więcej w podobny sposób brzmią wszystkie odpowiedzi Manolescu. Nie zaprzecza i przyznaje się z całą otwartością do wszystkich kradzieży, z oburzeniem odrzucając niesłuszne oskarżenia. Często, chcąc wykazać swoje „alibi" przyznaje się do innego włamania, o którem sąd nie wie.

Właśnie ta prostota i szczerość w zeznaniach, ta naiwność, posunięta aż do bezczelności, wreszcie duma rodu książąt Lahowary, stanowiąca biegunową sprzeczność ze stopniem moralności postępowania Manolescu, znalazła swój wyraz w orzeczeniu sądu, uznającego „księcia zrzezimieszków" za człowieka niepoczytalnego.

(g)

Zgon zasłużonego obywatela



W dniu 16 ub. m. zmarł jeden z najgorętszych pionierów żeglugi rzecznej w Polsce, Maks Friedman, znany i ceniony przemysłowiec i obywatel Warszawy, zasłużony działacz niepodległościowy i społeczny.

Śmierć jego jest niepowetowaną stratą dla wszystkich, z którymi zmarły stykał się na wielu polach swej działalności. Urodzony w Płocku, jako syn pierwszego twórcy żeglugi na Wiśle, Maks Friedman, poświęcił cały swój młodociany zapał tej dziedzinie pracy. W okresie zaboru rosyjskiego musiał walczyć z wieloma przeciwnościami, które mu stawiano na drodze rozwoju tak ważnego dla życia gospodarczego Polski dziedziny, jaką jest żegluga rzeczna. Pomimo ciężkich strat, poniesionych podczas wojny, natychmiast po odzyskaniu niepodległości, przystąpił do odbudowy swego warsztatu phacy. Można poczytywać go za pierwszego, który wywalczył byt prywatnej żegludze w Polsce niepodległej.

Nie zaniedbując jednocześnie pracy filantropijno-społecznej, stworzył między innymi Radę Zjazdów Żeglugowych, będącą naczelną instytucją opiekuńczą wszystkich polskich żeglarzy, syndykat rzeczny „Vistula" i t. p. W uznaniu jego pracy odznaczony został złotym krzyżem zasługi.

Działalność oszczędnościowa PKO. w r. 1930.

Jednym z podstawowych kierunków działalności P. K. O. — jest działalność oszczędnościowa. Akcja oszczędnościowa P. K. O. ma za zadanie z jednej strony popularyzację idei oszczędności wśród szerokich warstw naszego społeczeństwa, z drugiej zaś strony akumulację kapitałów oszczędnościowych, oraz udostępnienie najdogodniejszych i możliwie wszechstronnych sposobów oszczędzania. W wykonaniu tych zagadnień prowadzi Instytucja stałą i systematyczną propagandę oraz rozbudowuje i udoskonala swój techniczny aparat zbiorczy w postaci Kas Centrali, Oddziałów, ekspozytur i urzędów pocztowych.

Rok 1930 przynosi instytucji w tym kierunku dalszy ogromny sukces, który znajduje wyraz w ogromnym wzroście kapitałów oszczędnościowych oraz liczby oszczędzających. Wyniki cyfrowe działalności oszczędnościowej P. K. O. w roku 1930 przedstawiają się następująco: kapitał oszczędnościowy wzrósł w tym okresie o kwotę 79,4 milj. zł., gdy w roku ubiegłym (1929) odpowiedni czysty przyrost wynosił tylko 45,2 milj. zł. Ogólny stan kapitałów oszczędnościowych P. K. O., łącznie z wkładami pochodzącemi z waloryzacji wynosił w dn. 31.XII 1930 r. kwotę 253,7 milj. Z kwoty tej przypadło:

na wkłady oszczędn. zwycz.	207,4	milj. zł.
na wkłady oszcz. w zł. w złocie	5,5	„ „
na wkłady oszczęd. premjowane	7,0	„ „
na wkłady oszczęd. zwaloryzow.	33,8	„ „
Razem	253,7	milj. zł.

Jeśli chodzi o ilościowy wzrost działu oszczędnościowego P. K. O., to był on również znacznie silniejszy w r. 1930 niż w latach ubiegłych.

W ciągu roku sprawozdawczego pozyskała P. K. O. 220.977 nowych uczestników obrotu oszczędnościowego. Czysty przyrost liczby oszczędzających w P. K. O. w r. 1930, po uwzględnieniu książeczek zlikwidowanych, wynosił w roku sprawozdawczym 169.507. Ogólny stan czynnych książeczek oszczędnościowych P. K. O. wynosił w dniu 31.XII 1930 r. — 563.127, zaś łącznie z książeczkami pochodzącemi z waloryzacji — 605.547 książeczek. Z liczby tej przypadło na

książeczki oszczędnościowe zwyczajne	503.799.—
książeczki oszczędnościowe premjow.	57.655.—
książeczki oszczędnościowe w złotych w złocie (kraj. i emigrac.)	1.673.—
książeczki oszczędnościowe pochodzące z waloryzacji	42.420.—
Razem	605.547.—

Jeśli chodzi o udział poszczególnch warstw i grup społecznych w obrocie oszczędnościowym P. K. O., to najsilniejszą grupę oszczędzających w P. K. O. stanowił świat pracowniczy. Tak więc, biorąc pod uwagę pracowników, wojskowych, pracowników biurowych i handlowych — grupa ta liczyła w dniu 31.XII 1930 r. — 161.648, czyli 28,7 proc. ogólnej liczby oszczędzających w P. K. O.

Drugą z kolei, bardzo liczną grupę oszczędzających w P. K. O. stanowiła młodzież szkolna i dzieci. Posiadała ona 144.540 książeczek, czyli 25,6 proc. ogólnej liczby. Pod względem kwotowym, a więc sumy wkładów, grupa ta oczywiście stoi na jednym z dalszych miejsc. Trzecią wreszcie, stosunkowo bardzo liczną grupę oszczędzających, stanowili robotnicy i rzemieślnicy, którzy posiadali w P. K. O. 93.268 książeczek oszczędnościowych, czyli 16,5 proc. ogólnej ich liczby. Cyfry te świadczą, iż działalność oszczędnościowa P. K. O. dotarła do najszerszych warstw naszego społeczeństwa. Jeśli ponadto zważymy, iż przeciętny stan jednej książeczki oszczędnościowej wynosił w końcu 1930 roku — 390 zł., to widzimy, iż kapitały, nagromadzone w P. K. O., miały charakter ściśle oszczędnościowy. Rozwój działu oszczędnościowego P. K. O. w okresie kilku lat ostatnich przedstawia się następująco:

	wkłady w milj. zł.	liczba oszczędzających
R. 1926	24,6	113.201
„ 1927	67,6	179.643
„ 1928	122,3	298,343
„ 1929	172,9	434.305
„ 1930	253,7	605,547

Z cyfr powyższych widzimy, iż w okresie lat 1926—30 kapiał oszczędnościowy P. K. O. wzrósł przeszło dziesięciokrotnie, zaś liczba oszczędzających w P. K. O. — sześciokrotnie. Gdy zaledwie 3 lata temu 1 książeczka oszczędnościowa P. K. O. przypadała u nas na 170 mieszkańców, to z końcem r. 1930 książeczkę oszczędnościową P. K. O. posiadał już co 50-ty mieszkaniec.

Cyfra 605 tysięcy oszczędzających i 254 miljonów kapitału jest już jak na nasze stosunki cyfrą imponującą i dowodzi ona, iż P. K. O. stała się instytucją, ogniskującą przeważną część ruchu oszczędnościowego w Polsce.

T. Dziekoński.

Sprostowanie

W artykule p. t. „Z teatrem wędrownym przez Wołyń", w 17 wierszu od dołu, trzeciej szpalty, ma być, oczywiście, „Złota czaszka", a nie „Złota gąska", co niniejszem prostujemy.

Refleksje

Hasło bolszewickie: „Należy niszczyć, by budować" nie jest wymysłem naszych wschodnich sąsiadów. Powstało ono w zaraniu ludzkości, nie w formie krzykliwego credo, lecz jako naturalne prawo ewolucji. Nie poddając surowej krytyce i nie komentując swych czynów ludzie podświadomie kruszyli przestarzałe zręby zasad, ustrojów, organizmów państwowych, cywilizacji i kultur, by na ich gruzach tworzyć nowe formy architektoniczne czasów przyszłych. Bolesne cięcia nowatorów, wyszły nieraz na korzyść, nieraz zaś miały wprost odwrotny skutek. Stawały się wtedy wspólnym grobem. Cały ten uczony wstęp, który może przeraził i zniechęcił czytelnika do dalszego czytania niniejszego artykuliku, jest poto, by wykazać, że zniszczenie pewnego pojęcia, czy rzeczy, wywołuje w tej chwili reakcję i potrzebę zastąpienia rumowiska czemś innem.

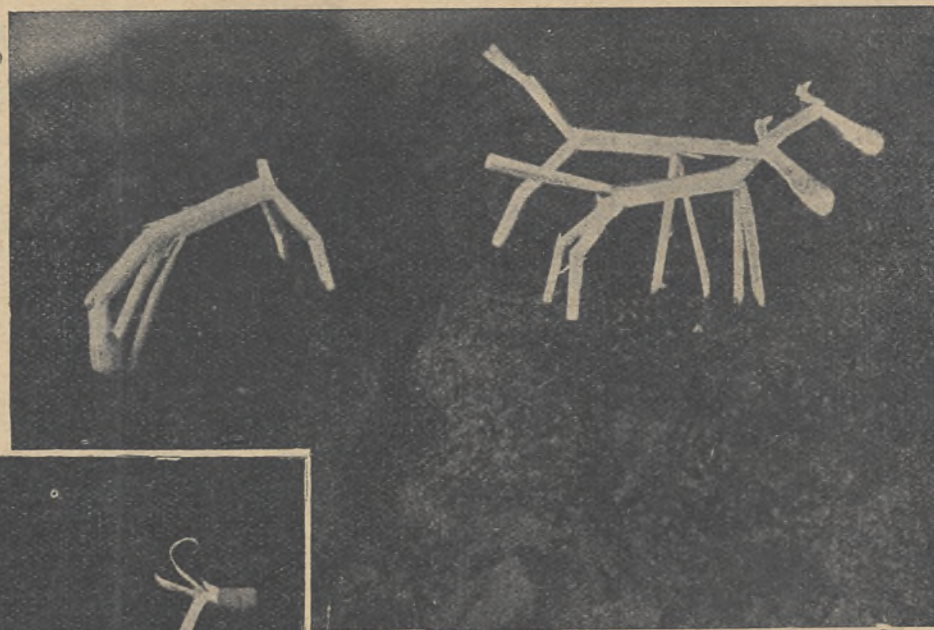
Refleksje te przyszły mi na myśl, gdy kiedyś, po wyczerpującej pracy umysłowej, starałem się zająć jakąś mechaniczną pracą, któraby pozwoliła odpocząć przepracowanemu mózgowi. Pasjanse, układane z kart, wydały mi się jednak zbyt męczące. Kombinowanie według pewnego ustalonego systemu były zanadto nużące.

I wtedy wpadło mi do ręki pudełko z zapałkami. Zacząłem je łamać — niszczyć, kruszyć. Spojrzawszy po chwili na swe barbarzyńskie dzieło, zdumiałem się nad tem, com stworzył. A co, o tem możecie się przekonać, na załączonych obok fotografjach.

Zniszczyłem, by podświadomie zbudować!

Popróbujcie i wy...

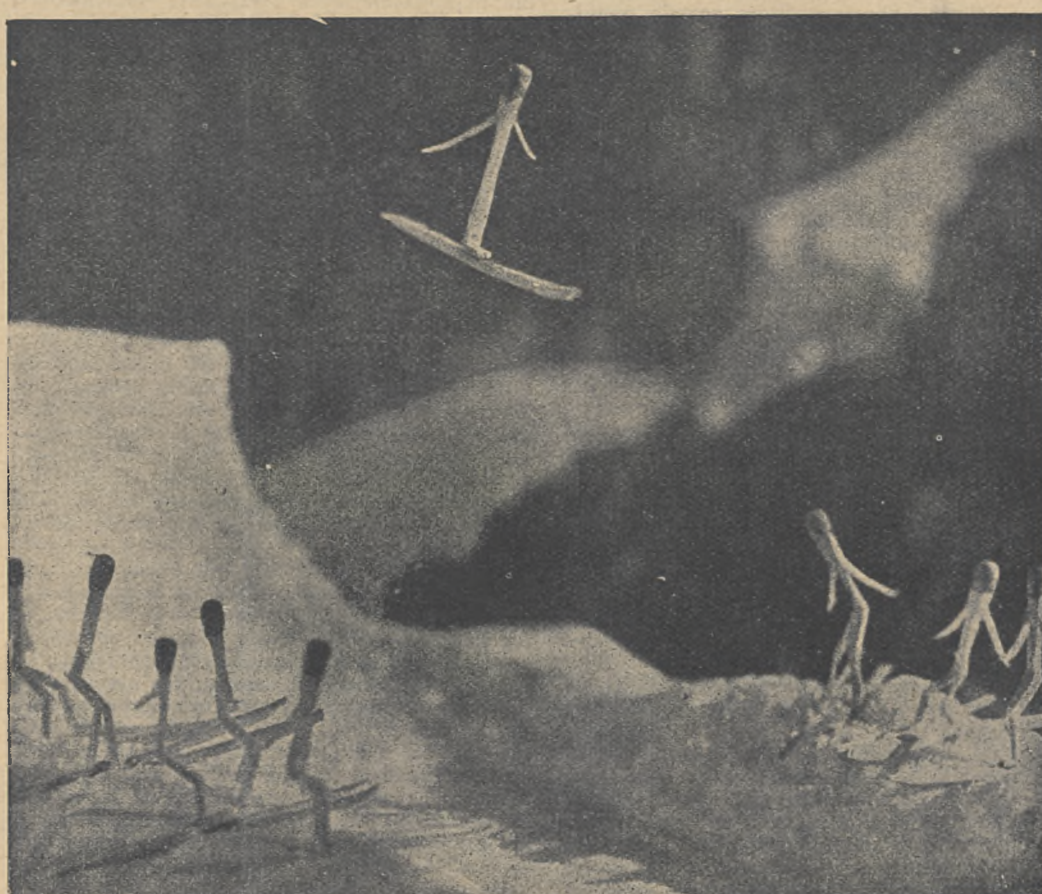
(g).



Pasące się konie na łące.



Polowanie z psiarnią na grubego zwierza.



Nawet moje zapałki wpadły w szał sportowy, szczególniej w okresie mistrzostw narciarskich.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200 ½ strony zł 600. mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI — Wydawca PRASA ILUSTROWANA S-ka z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.